



kaczka
zawiodła



6
mogli
powiedzieć: nie



8
łomżyńskie
wrzesnie



z okazji

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

39

(363)

KONTAKTY
1987-09-27

cena
20 zł



WŁADYSŁAW TOCKI

ogrodnik

z Alei Sprawiedliwych

Zmarłych wstanie

Medal ma swoją wagę. Na oko — z dwadzieścia deka. Syn kiedyś nawet ważył, ale wyleciały z głowy; te deka. Przy medalu jest znaczek. „Kto ratuje jedno życie, to jakby cały świat”. Tak mówi znaczek w wolnym, rzecz jasna, przekładzie. Tak, dajmy na to, literat użyłby słowa: ocala. I faktycznie byłoby ładniej. Nawet głębiej. Tylko czy prawdziwiej? Mieczysław Gosk, zamieszkały w Wyrzykach, gmina Łomża, nie jest jednak literatem, lecz rolnikiem, i od ładniej woli prawdziwiej. W każdym razie Icchak Szumowicz przez trzydzieści lat słowem nie wspominał swej córce Rywce, która miała to szczęście urodzić się później, co przeżył w czasie Zagłady. Plakał, ciągle plakał w czterdzieści lat potem, gdy zobaczył żonę Mieczysława, panią Helenę. Pani Helena nawet musiała go czasami strofować: „Przestań już, przestań”. Przestawał, a potem znowu. I inni z nim. A co to znaczy? Że Icchak został uratowany, czyli żyje. I to tylko jest pewne.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

REKONSTRUKTOR FAKTÓW

STR. 8—9

W suplemencie do XIII t. „Wielkiej encyklopedii powszechnej”, pod hasłem: „Ostrów Lubelski”, zainteresowani mogą znaleźć m.in. taką informację: „W 2 poł. 1942 miejscowy oddział AK podpalił transport wojsk na stacji kolejowej D.L.” Wiadomości encyklopedycznych na ogół nikt nie kwestionuje, ale co bardziej pedantycznych czytelników podejrzenie może wzbudzić dokładność podanego terminu: transport kolejowy mógłby się palić kilka lub kilkanaście godzin, a nie pół roku. Ponadto chyba istotny jest też taki szczegół, że najbliższa linia kolejowa omija w 1942 r. (jak i dziś) Ostrów Lubelski o dobre 10 kilometrów; nadto: nie ma i nie było stacji kolejowej o tej nazwie.



W NASTĘPNYM NUMERZE:

w czym działwa tarnowska nie przegrywa ▼ kto nie ma problemu z gwarancją ▼ jak podłączyć się do rury ciepłowniczej ▼ ilu jest takich Dobrzyńskich ▼ czy LPB jest nad kreską ▼ wędrowni st. ulana Leona Keniksmiana po klasce wrześnieowej ▼ „Kontakci” ▼ Thomas i Nora.



ŁOMŻYŃSKIE DOŻYŃKI definitywnie zakończyły tegoroczne żniwa. Podczas niedzielnych uroczystości zespoły ludowe w pięknym widowisku odtworzyły obrzęd dożynkowy; było wiele podziękowań za rolniczy trud. Kilku dziesięciu rolników i pracowników obsługi rolnictwa zostało uhonorowanych odznaczeniami państwowymi i resortowymi. Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Halina Dąbrowska, Tadeusz Dąbrowski, Zygmunt Dąbrowski, Stanisław Kuryłowicz, Jan Szymański i Mieczysław Waśkowicz. (O dożynkach wkrótce napiszemy szerzej).

ZACZĘŁY SIĘ WYKOPKI. Ziemiaki w Łomżyńskim trzeba zebrać w tym roku z 65 tys. ha; dotychczas wykopano je z 45 proc. tej powierzchni. Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego skupiło już 40 tys. ton na planowanych 150 tys. Nie wielkie ilości kupią gorzelnie i gminne spółdzielnie (w sumie — ósmą część zbiorów). Większość rolnicy muszą zagospodarować sami.

MIAJĄ PIERWSZY MIESIĄC nowego roku szkolnego, a nadal brakuje podręczników. Wśród dyrektorów łomżyńskich szkół ponadpodstawowych przeprowadziliśmy sondę. Stanisław Baldyga, zastępca dyrektora w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 („Budowlanka”): „Brakuje podręczników do przedmiotów ogólnokształcących i zawodowych. Nauczycielom wiele czasu zajmuje dyktowanie. Młodzież uczy się niektórych przedmiotów tylko z notatek”. Czesław Łada, zastępca dyrektora Liceum Ogólnokształcącego: „Nie ma chyba na co czekać. Przecież klasy profilowe wprowadzono w 1966 roku, a podręczniki nie ukazały się do dziś”. Leon Radziszewski, dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 („Ekonomik”): „Najgorzej jest z podręcznikami do pierwszych klas; nie ma z czego uczyć literatury starożytnej, geografii, chemii”.

DELEGACJA KOMSOMOLU z Tatarskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej przebywała w tym tygodniu w Łomżyńskim. Goście interesowali się przede wszystkim warunkami życia, pracy, nauki i wypoczynku młodzieży.

POROZUMIENIE o współpracy technologicznej i socjalnej zawarto Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży z podobnym zakładem w Poniewieżu w Litewskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Obejmuje ono szkolenie mistrzów i brzdękistów, dostawy surowców i materiałów oraz bezwzględową wymianę grup kolonijnych, a w przyszłości — również czasów pracowniczych.

ZESPOŁ centralnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR pracował w Łomżyńskim. Skontrolował m.in. działalność instancji partyjnych w Ciechanowcu, Łomży i Zambrowie, POP przy spółdzielniach „Miś”, STW oraz w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Wewnętrznego. Nieprawidłowości nie stwierdził.

PODCZAS MANIFESTACJI w Wiośnie kombatanek Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”, harcerze i młodzież uczcili pamięć bohaterów Września.

IMIĘ ADAMA CHETNIKA otrzymała Szkoła Podstawowa w Nowo-

grodzie. Uroczystość nadania odbyła się w pierwszej dekadzie października podczas obchodów 60-lecia Skansenu.

AŻ 63 ZAKŁADY produkujące żywność zostały w tym roku zamknięte przez Sanepid za nieprzestrzeganie zasad higieny. Suma mandatów wynosi 860 tys. zł.

SREDNIO O 30 PROC. droższą od 1 października bilety PKS-u i PKP. „Kontakty” będą drukować w odcinkach nowy cennik biletów PKS-u.

TADEUSZ GODLEWSKI z Zalesia Starego otrzymał jedną z trzech głównych nagród w konkursie „Chłopskiej Drogi”.

W KONKURSIE Ludowych Zespołów Sportowych ph. „Rowerem wszędzie” jedną z nagród zdobył Dariusz Sasiniowski z woj. łomżyńskiego.

KRZYSZTOF WERPACKOWSKI, kolekcjoner ze wsi Rutki Kossaki, wysperzał na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku 12 egzemplarzy „Łomżyńskich Wiadomości Gubernialnych” — pisma tygodniowego, ukazującego się w Łomży w drugiej połowie ubiegłego wieku.

PROGRAM Dyskusyjnego Klubu Filmowego „To tu” przy MDK-DST w Łomży na październik i listopad: 8 X — „Pokuta” Tengiza Abuladze, 29 X — „Patt Garret i Billy Kid” Sama Peckinpaha, 5 XI — „Pół żartem, pół serio” Billy Wildera i 26 XI — „Ofelia” Claude Chabrola. Wszystkie projekcje w kinie „Millennium” o godz. 21.00. Bilety do nabycia w kasie kina.

SWOJĄ DZIAŁALNOŚĆ teatralną w Osiedlowym Domu Kultury w Łomży (ul. Małachowskiego 4) wznawia zespół „Buntis”. Wszyscy chłopcy (od kl. III szkoły podstawowej) zainteresowani teatrem i pracą w tym zespole mogą zgłaszać się osobiście (wtorki i piątki, godz. 17.00—19.00) lub telefonicznie (tel. 68-654).

KRAKOWSKI OŚRODEK Kultury Wsi ZMW „Scena Ludowa” organizuje kolejne ogólnopolskie spotkanie kabaretów wiejskich (w marcu przyszłego roku). Wszyscy zainteresowani powinni przesłać karty zgłoszeń do 20 października br. Adres: OKW ZMW „Scena Ludowa”, ul. Sobieskiego 5/7, 31-136 Kraków.

ŁOMŻYŃSKIE TOWARZYSTWO MUZYCZNE i Państwowy Teatr Lalek w Łomży zapraszają na inaugurację sezonu koncertowego 1987/88 (sala PSM-u, 27 IX, godz. 15.00). W programie: występy studentów Wydziału Lalkarskiego PWST z Białegostoku oraz premiera baśni muzycznej „Sto albo więcej przegód Furki Purki i jego przyjaciół”.

SZAJKA MŁODOCIANYCH przestępców ujęta została w Grajewie. Okradali samochody, garaże, kioski. Nie gardzili łakociami, wynieśli np. sernik z cukierni.

na gorąco

niecierpliwość

Rok 1988 będzie dla polskiej gospodarki — a w rezultacie i dla nas wszystkich — rokiem szczególnym. Otwiera on bowiem drogę przedsięwzięciu nazywanemu umownie drugim etapem reformy gospodarczej, które — jeśli się powie — ma doprowadzić do długiego oczekiwane-go przełomu w sprawności naszego gospodarowania. W tym sensie przyszły rok przypomina 1982, tyle że tym razem z większym ładunkiem trzeźwego sceptycyzmu i niecierpliwości. Cechy te ujawniły się mocno podczas konsultowania założeń centralnego planu na rok 1988 — również w naszym województwie.

Przed wszystkim chodzi o to, aby zapowiadanych reformatorskich zmian nie opóźniać i nie przeciągać w czasie. Każda taka zwłoka może spowodować trudne do przewidzenia skutki. Dotychczas posuwaliśmy się w zwolnionym tempie, drobnymi kroczkami, które — choć często wiodły w dobrym kierunku — nie tylko nie zbliżyły nas do celu, ale przeciwnie: zaczęły nawet od niego oddalać.

Następnym niebezpieczeństwem sygnalizowanym przez przedsiębiorstwa przemysłowe, jest nieskuteczność ich własnych programów oszczędnościowych. CPR przewiduje dość znaczny przyrost produkcji jako wynik zmniejszenia zużycia energii i surowców, tymczasem zakłady doszły do granicy, której nie mogą przekroczyć bez zastosowania nowych oszczędnych technologii i wprowadzenia mniej energo- i materiałochłonnych maszyn i urządzeń. A tych wciąż nie ma.

I wreszcie najważniejsze pytanie: komu ile dać? Planiści zadają je sobie wprawdzie co roku, lecz tym razem nabrało ono szczególnego dramatyzmu. Wystarczy przejść się po sklepach, aby zorientować się, jak bardzo nasz rynek jest ubogi. Rozsądek nakazywałby zrobić wszystko, by puste półki zapełnić. Cóż, kiedy producenci przemysłowi od kilku lat coraz mocniejszym głosem wołają o ratowanie — coraz bardziej starzejącego się i rozpadającego — majątku produkcyjnego. Sami nie mogą z tym sobie poradzić, gdyż albo nie mają dość pieniędzy, albo — jeśli już je mają — nie mogą sprzętu kupić, bo jest centralnie dzielony. Żądanie skierowania większej części dochodu narodowego na powiększenie majątku (tzw. akumulację) kosztem spożycia przewija się we wszystkich dyskusjach, prowadzonych wśród menadżerów naszego przemysłu. Tak też się stało: CPR zakłada szybszy wzrost inwestycji (o 3,7 proc.) niż spożycia (o 1,1 proc.). Kłopot polega na tym, że choć wydatki na inwestycje w ostatnich latach rzeczywiście bardzo zmalały, nie ma możliwości ich znaczącego wzrostu. A to dlatego, że wytwórcy stali, cementu, maszyn budowlanych i innych dóbr inwestycyjnych nie są w stanie wyprodukować ich więcej niż teraz. Wobec tego wydawanie dodatkowych pieniędzy i rozpoczynanie nowych budów może doprowadzić do tego, iż będą ciągnąć się latami, nie przynosząc widocznego efektu na rynku.

Przedsiębiorstwa i władze terenowe chciałyby wiedzieć, jakie konkretne rozwiązania ekonomiczne obowiązować będą w przyszłym roku. Na razie o wielu z nich mówi się w ogólnych zarysach — najczęściej to, że zostaną zmienione. Plany wojewódzkie i zakładowe powinny powstać możliwie szybko; wciąż jednak mało wiadomo o przyszłych rozwiązaniach. Można by znieść tę niepewność, gdyby przynajmniej była gwarancja, iż nadchodzący rok przyniesie rzeczywiście rewolucyjne zmiany.

JAN ONISZCZUK

zdanie tygodnia

— Polityka z natury rzeczy polega na operowaniu siłą; każdy, kto nie dysponuje jakimiś elementami siły, a uprawia działalność polityczną, znajduje się w sferze polityki pozornej.

Prof. Jan Szczepański

myśl z atestem

„Bogactwo nie jest ulgą w kłopotach — jest tylko zmianą kłopotów.”

Epikur

pytanie drazliwe

Rozporządzenie ministra opieki społecznej z 1936 roku o rozdzielnej sprzedaży mięsa i wędlin obowiązuje od półwiecza, ale dopiero teraz zaczęto je stosować, i to niekonsekwentnie. W praktyce rozdzielność oznacza bowiem dwukrotne stanie w kolejkach — oddzielnie po mięso, oddzielnie po wędliny — podczas gdy podaje je i tak ta sama osoba. Po co więc ta fikcja?

ALEKSANDER SYCZEWSKI, kierownik działu żywienia w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. — Ideal jest taki: jed-

na osoba zatrudniona jest wyłącznie do przyjmowania pieniędzy, druga do podawania mięsa, wędlin itd. Ta sama osoba może podawać mięso, wędliny, drób pod warunkiem, że za każdym razem będzie myła ręce. W kilku sklepach instalowane są podręczne umywalki, ale nie ma jeszcze nawyku częstego mycia rąk. Mimo protestów pracowników handlu osiągnęliśmy tyle, że drób, mięso i wędliny przechowywane są oddzielnie. Dzięki surowemu stosowaniu tych przepisów ustrzegliśmy się w naszym województwie przed zatruciami pokarmowymi.

gościli w Łomży

Członek Rady Państwa — prof. Kazimierz Secomski, kierownik Wydziału Rolnego KC PZPR — Jan Zegartowski, wiceminister rolnictwa — Kazimierz Dunaj, sekretarz Komitetu Obwodowego Komsomolu z Kazania — Ryszard Ahykakirow, przewodniczący Związku Rolników z Magdeburga — Heinz Hengefeld, doradca prezesa Rady Ministrów — Stanisław Rostworowski.

zaprosili nas

Zrzeszenie Prawników Polskich — na zjazd sprawozdawczo-wyborczy; Fabryka Aparatury i Urządzeń Komunalnych — na jubileusz 30-lecia; rektor Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie — na konferencję prasową; rektor i Senat Akademii Medycznej w Białymstoku — na inaugurację roku akademickiego; Łomżyńska Orkiestra Kameralna — na inaugurację sezonu artystycznego; Wojewódzki Komitet Zjednoczonego Stronictwa Ludowego — na Dni Prasy Ludowej; Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej — na Wojewódzkie Święto Zbiorów ZMW i turniej gmin — Czyżew-Szeptowo; Federacja Związków Zawodowych Portów Morskich i Gdyni — na wystawę najnowszych sprzętu ratownictwa chemicznego i górniczego.



Z JERZYM BILMINEM, kierownikiem Rejonu Energetycznego Łomży, rozmawia JAN ONISZCZUK.

JAN ONISZCZUK: — Jest Pan dopiero trzecim kierownikiem Rejonu w siedemdziesięcioletniej historii łomżyńskiej energetyki. Taka ciągłość jest dzisiaj czymś nie spotykanym.

JERZY BILMIN: — Rzeczywiście, od 1917 do 1958 r. ówczesną elektrownią kierował Witold Schild, później, do 1970, Wacław Sobolewski, a od siedemnastu lat — ja. Długi staż nie jest w energetyce czymś niezwykłym; mam u siebie ludzi ze stażem przeszło czterdzieści lat. Najtrudniejszy jest pierwszy rok, później, jeśli człowiek wytrzyma, zostaje na wiele lat. Zresztą mamy jeszcze inne osiągnięcia z siedemdziesięcioletnim rodowodem. Od początku do dziś nie zdarzył się u nas żaden wypadek śmiertelny, co przy tak niebezpiecznym zajęciu jest sporym sukcesem (byłoby nie zapeszyć!).

— Jesteście instytucją użyteczności publicznej, więc reforma was nie dotyczy. Macie spokojne życie.

— To tylko pozory. Ostatnio bank zażądał od Centralnego Okręgu Energetycznego, którego jesteśmy częścią, przedstawienia programu uzdrowienia finansowego. Od roku 1970 ceny energii elektrycznej wzrosły trzykrotnie (3 złote 20 groszy), podczas gdy ceny węgla — dziesięciokrotnie (ok. 6000 złotych). A nasza energetyka na węglu stoi. Stąd te wszystkie limity i ograniczenia wydatków inwestycyjnych, a 40 proc. naszych urządzeń, zwłaszcza na wsi, wymaga wymiany lub modernizacji.

— Właśnie, rolnicy skarżą się na przerwy w dopływie prądu, a i w Łomży lodówki „płyną”.

— Powody są różne: tzw. wyłączenia rotacyjne, na które nie mamy wpływu, oraz awarie. Urządzenia energetyczne instalowano w naszych wsiach w okresie powszechnej elektryfikacji w latach pięćdziesiątych. Prąd doprowadzono z myślą o oświetleniu domów, ewentualnie innych drobnych potrzebach; nikt wówczas nie myślał o mechanizacji pracy rolnika. Dziś rolnicy to poważni odbiorcy. Sami twierdzą, że gdyby pozbawić ich prądu i ropy, ogłosiliby bankructwo. Ponad jedna trzecia pożarów wybucha na wsi na skutek złego stanu instalacji. Podczas ostatnich zliw straż pożarna zażądała wyłączenia prawie całej wiośki (Zabiele w gminie Kolno). Staraliśmy się tego uniknąć, ale jedynym skutecznym sposobem będzie wymiana urządzeń. W Łomży faktyczne zużycie energii elektrycznej ponad trzykrotnie przekracza zaplanowane. Wynika to przede wszystkim

z braku węgla i małej mocy cieplowni. Mieszkańcy dogrzewają się zatem czym się da. Największe kłopoty występują na łomżyńskiej Starówce, gdzie nie ma sieci ciepłowniczej. Właściwie tylko prąd pozwolił nam przetrwać tegoroczne mrozy. Bardzo by nam obywatele pomogli, gdyby w godzinach szczytu (od 17.00 do 21.00) powstrzymywali się od używania szczególnie „prądokżernego” sprzętu, zwłaszcza żelazek, grzałek, piecyków itp.



— Podobno skarżycie się na dewastację urządzeń?

— Tak, to prawdziwa plaga. Niektórzy rolnicy, chyba na skutek beznadziejności, wykrecąją kątowniki na słupach linii przesyłowych 110 kV, nierzadko po kilkanaście na jednym. Powoduje to osłabienie konstrukcji, a przy silnych wiatrach może grozić zawaleniem, co zresztą w naszym województwie już bywało. W parkach regularnie tłuczone są lampy; zdarzało się niszczenie punktów zasilania. Również kierowcy lubią od czasu do czasu przejechać się po słupach. Wydaje mi się, że to kwestia społecznego wyrobienia; np. w Poznaniu takie rzeczy nie mają miejsca. Z doświadczenia wiem, iż dewastacje kończą się dopiero po śmiertelnym wypadku.

— Pytanie najważniejsze: jaki będzie najbliższy szczyt jesienno-zimowy?

— Bardzo trudny. Zazwyczaj jest tak, że chwalimy energetykę, a później, gdy przychodzi zima, dziwnie się, że są przerwy w dopływie energii. Tym razem trzeba powiedzieć jasno: istnieje duże prawdopodobieństwo wyłączeń rotacyjnych. W ogólnopolskim bilansie zabrakło nieco ponad 1000 megawatów (dla porównania: w całym kraju zainstalowanych jest 27 000 MW). Województwo łomżyńskie korzysta zaledwie z 0,38 proc. krajowych zasobów; to drobny ułamek, więc być może nie odczujemy wyłączeń tak dotkliwie, jak inni.

— Dziękuję za rozmowę i życze, jak najwięcej pamiętających o oszczędzaniu prądu odbiorców.

PO ŻNIWACH

Zakończyły się żniwa, a wraz z nimi — obłężenie spółdzielni kółek rolniczych. Ten wojenny termin najbardziej oddaje to, co przez kilka tygodni działo się na placach zakładów usług mechanicznych i w biurach przezeń. Nawet w martwym sezonie, kiedy na polach nie ma pilnych prac, stosunki między spółdzielniami a rolnikami nie grzeszą nadmiarem elegancji. Tym bardziej nie było jej w czasie tegorocznych zliw. Fatalna pogoda i spiętrzenie prac wyzwoliły u klientów SKR-ów wyjątkową nerwowość; każdy rolnik — wbrew rozsądkowi — domagał się, by za pierwszym przebytym słońcem na jego polu zjawili się kombajny „Bizon”. Tymczasem maszyny, jak na złość, psuły się częściej niż zwykle.

BEZ KURTUAZJI

Gdyby SKR-y miały nawet pięć razy więcej sprzętu, i tak pracy nie dałoby się zorganizować idealnie; ktoś musiałby być pierwszy w kolejce, ktoś inny — ostatni. Rolnicy pogodzili się już z tym, że koszenie zboża odbywa się strejowo, to znaczy — nie według kolejności indywidualnych zgłoszeń, lecz włoskami; ogranicza się w ten sposób koszty pustych przebiegów maszyn. Tylko najbardziej uparci awanturują się jeszcze w tej sprawie. Z większymi oporami przyjmują inne, coraz bardziej rygorystycznie wprowadzane przez spółdzielnie zasady. Należy do nich stuprocentowa przedpłata za usługę. Żądając przedpłaty spółdzielnie wyrażają nieufność klientom; jest ona poniekąd uzasadniona: część rolników ociąga się z płaceniem rachunków do tego stopnia, że roczna kwota nie wyegzekwowanych należności w województwie idzie w setki milionów. Trudno jednak po uiszczeniu rachunku dyskutować z SKR-em o jakości wykonanej pracy. Trudno też dobrej jakości wymagać. Niestety, przywilejem monopolisty jest to, że on właśnie dyktuje warunki. Rolnicy gderają i płacą. Co sprytniejsi starają się wprowadzić przeciwnika w pole; gra polega na zaniżeniu zleceń — np. rolnik ma pięć hektarów zboża, a kombajn zama-

wia na jeden. Praktyki te powodują walenie się w czasie żniw całych harmaigramów prac, gdyż maszyny pracują faktycznie dłużej niż planowano. W efekcie rodzą się nowe scysje, nieufność i uprzedzenia.

SKR-y nie lubią rolników: ich zasad, sprytu, poczucia humoru. Nie lubią sezonowości prac rolnych, spiętrzeń, kampanii i obłężek. Sezonowość to brak zajęcia dla pracowników w okresach martwych, a firma musi przecież jakoś prosperować, bo ludziom trzeba płacić. Rolnicy nie lubią SKR-ów; nie mają dobrego mniemania ani o zdolnościach organizatorskich ich szefów, ani o jakości zatrudnionych tam mechaników. Nie przyjmują do wiadomości ich trudnej sytuacji ekonomicznej. Liczą swoje pieniądze. Wzajemne animozje — to dziełstwo przeszłości, „dorobek” dwu-

dziesiętniej zaledwie historii maszynowej mechanizacji wsi łomżyńskiej. Zaczęła się ta historia od przekazania przez państwo w użytkowanie kółkom rolniczym maszyn i sprzętu. Efekty są znane; z jednej strony: niska kultura techniczna, a z drugiej — wiejskie kumoterstwo. Dziedzictwo pierwszego okresu przejęty SKR-y. Przy ówczesnych zasadach ekonomicznych były siedliskiem złej roboty i bajecznego marnotrawstwa. Zmieniły się zasady, ale w mniejszym stopniu — mentalność.

Pełna mechanizacja kilkunastohektarowego gospodarstwa z ekonomicznego punktu widzenia nie ma sensu; jej koszt przewyższa zyski. Rolnikom potrzebne są solidne przedsiębiorstwa usługowe. Czy SKR-y mają szansę nimi zostać? Może, za kilkanaście lat. Proces ten z pewnością byłby szybszy, gdyby pojawił się konkurent. Pozycji SKR-ów jako monopolistów nie zachwiałoby jeszcze — powołane kilka lat temu — rzemieślnicze punkty usługowe. Ale gdyby tak owe punkty rozbudować do niewielkich przedsiębiorstw, kto wie... Sytuacja zmieniłaby się wtedy na korzyść rolnika; mógłby wybierać. Teraz jest skazany. Zanim się tak stanie, czeka nas jeszcze wiele nerwowych żniw.

MARIA KACZYŃSKA



happy end w Ciechanowcu

Wieloletnie zabiegi mieszkańców Ciechanowca o rozbudowę i modernizację szpitala zostały uwieńczone wreszcie powodzeniem, a nawet ich efekty przeszły najśmielsze oczekiwania. Zapadła decyzja o budowie nowego szpitala na 300 łóżek. Pieniądze na pierwszy etap już są: 180 milionów z dotacji centralnych i budżetu wojewódzkiego oraz 7 — ze składek społecznych. Wojewódzka Dyrekcja Inwestycji czyni wstępne przygotowania; kompletna dokumentacja obiektu będzie za dwa lata. XVIII-wieczny budynek starego szpitala zostanie po remoncie wykorzystany na dom pomocy społecznej. (mak)

z bocznych tras

● **SKÓRKI** (gmina Czyżew). Do wsi prowadzi wyboista polna droga sześciometrowej szerokości. Mieszkańcy już od kilku lat pracują przy jej ulepszeniu. Nie jest to łatwe zadanie: pieniądze i dobre chęci nie wystarczają. Rzecz rozbija się o poszerzenie drogi do 9 metrów. Geodeci z Rejonowego Biura Geodezji w Wysokiem Maz. są tak zapracowani, że nie wiedzą, kiedy znajdą czas na Skórki. Geodeta gminny w Czyżewie ledwie wyrabia się z papierkową robotą. Zresztą, i tak nie ma odpowiednich narzędzi do pracy w terenie. Skórki czekają.

● **STYPULKI ŚWIECHY** (gmina Kobylin Borzymy). Niewiele brakowało, a trzy lata temu wieś straciłaby szkołę; stary, drewniany budynek groził zawaleniem. Uczniów czekałyby dojazdy: do Leśniewa w gminie Kulesze Kościelne i do Kobyliny, gdzie też wa-

runki nie są najlepsze. Mieszkańcy wsi postanowili zbudować nową szkołę i udało się. Właśnie 1 września zabrzmiął w niej pierwszy dzwonek. Jest też nowy dom nauczyciela z mieszkańcami dla czterech rodzin. Niewielka to jednak dla nauczycieli radość: budynek stoi, ale nie można się wprowadzić z powodu braku gazu. Zabiegi o przydział butli gazowych nie przynoszą rezultatów, mimo że nie ma możliwości zainstalowania ani kuchni węglowych, ani elektrycznych.

● **PSZCZÓŁCZYN** (gmina Kobylin Borzymy). Jeśli chcecie mieć w swojej wsi wodociąg — jedźcie do Pszczółczyna po instrukcje. Naj-

pierw trzeba wywiercić studnię głębinową i znaleźć działkę pod budowę hydroforu. Mieszkańcom Pszczółczyna zależało; właściciel działki nie targował się o cenę. Bez ociągania zebrał też niezbędne do rozpoczęcia inwestycji pieniądze. Woda powinna dotrzeć do zagrody na przełomie lat 1988 i 1989.

● **PIĘTKI GREZKI** (gmina Klukowo). Owca wyhodowana przez Mariana Piętka otrzymała na wystawie w Warszawie tytuł czempiona.

— Jak Panu udało się wyhodować tak piękny okaz?

Marian Piętka: — To bardzo proste. Trzeba przez dwadzieścia

lat hodować owce, dbać o nie, prowadzić selekcję.

— Nie ma u nas tradycji. Byłem pierwszy w całej okolicy. Teraz moje stado liczy sto sztuk rasy kent. Niestety, nie mam tryka dobrej wartości. Obawiam się, że będę musiał pojechać po niego aż do Anglii.

— Jakże pożytki ma Pan z owiec?

— Trochę wełny, mięso. Jakiś dochód jest.

— Jak odróżnić czempionkę od innych owiec?

— Ma piękną, długą wełnę, odpowiednio karbowaną; waży około 100 kilogramów. Szczepie mówiąc, wiele owiec w stadzie ma podobne cechy i sam czasem nie potrafię jej odróżnić.

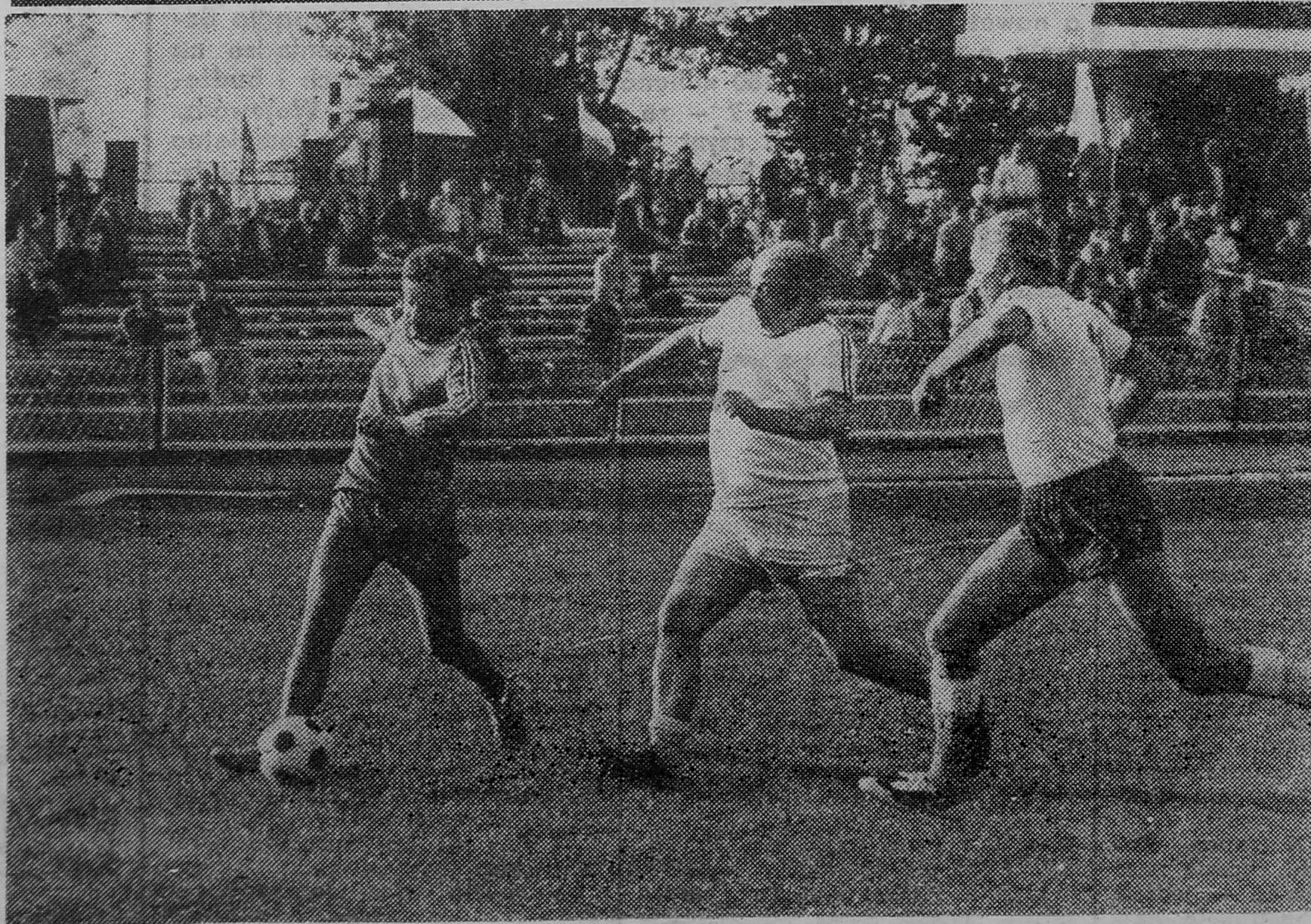
— Czy ma Pan kożuch z baranich skór?

— Jeszcze się nie dorobiłem. (W.K.)





KACZKA ZAWIODŁA!



Choćby się nawet bardzo nie chciało, wzajemne pretensje – plon współpracy na tzw. niwie zawodowej – rosną bez opamiętania. Władza boczy się na nasze pisanie, dziennikarze co chwila prześmiewają się z niektórych poczynania „wierchuszki” lub ich braku. Ot, samo życie... Nie od dziś marzyliśmy więc o okazji, pozwalającej raz na zawsze dowieść, kto sprawniejszy, dokładniejszy, skuteczniejszy. Propozycja spotkania się w tym celu na boisku przyszła w samą porę.

Drużyna gospodarzy stawiała się w komplecie, z sekretarzami KW, wicewojewodami (dyskretnie nadzorowanymi przez samego szefa z ławki dla kibiców) i milicjantami. Tyle się łomżyńskiej władzy nazbierało, że i kilka drużyn dałoby się z niej skompletować. My też nie byliśmy skromniejsi. Do sportowych bojów stanęły – z „Gazety Współczesnej”, „Kuriera Podlaskiego”, „Kontaktów” i nie tylko – i orły, i sokoly. Przyplątała się nawet kaczką, którą czym prędzej sprezentowaliśmy przeciwnikom jako „załącznik”. Niestety, zignorowali i tę próbę pertraktacji oraz kilka innych forteli. Ogłaszaliśmy np. przez megafony, że znów pękły kaloryfery w nowo budowanym szpitalu, woda przelewa się w basenie w Łomży, w nocy wyrosły fundamenty Wojewódzkiego Centrum Kultury, ale nikt z zainteresowanych nie opuścił boiska. Tak bardzo chcieli nam dokopać?! W czasie meczu nie udało się to ani nam, ani Im. Trzeba będzie znów czekać na okazję...

(N.O.)



Fot. Gabor Lörinczy

Fragment wspomnień długoletniego pracownika rozgłośni Polskiego Radia w Białymstoku, która we wrześniu br. obchodzi 35-lecie istnienia

Z górą dwadzieścia lat temu zadzwonił do mnie Jerzy Bieńczycki, ówczesny kierownik redakcji litewskiej rozgłośni. Znałem go trochę, wszakże nie na tyle, abyśmy mogli mieć z sobą jakieś wspólne interesy.

— Mam propozycję — powiedział bez żadnych wstępów, był bowiem człowiekiem bardzo konkretnym. — Nie chciałbyś przypadkiem popracować sobie trochę w radiu?

Całkowicie zaskoczony, poprosiłem go o parę dni do namysłu, ale nie chciało mi się słyszeć. Jak każdy raptus — lubił raz zacząć sprawę — natychmiast doprowadzić do końca: — Jeśli chcesz pracować, przyjdź za godzinę — rzekł i odłożył słuchawkę.

Oczywiście, poszedłem, zastanawiając się po drodze, skąd ten pomysł, żeby zatrudnić w radiu akurat mnie, byłego farmaceutę, późniejszego nauczyciela ewangeliki. Wprawdzie bawiłem się trochę pisywaniem felietonów sportowych do „Gazety Białostockiej”, a po pobycie w Anglii opublikowałem bodaj że dwa reportaże, jednak czy był to wystarczający powód, żeby zostać dziennikarzem radiowym? Nawiasem mówiąc, tajemnicy tej nie wyjaśniłem do dzisiaj.

Zygmunt Brzozowski, naczelny redaktor rozgłośni w tamtych czasach, nawet nie zapytał, skąd przychodzi ani co mam zamiar prezentować na antenie. Teraz twierdzi, że już w trakcie pierwszego spotkania, mocą znaną tylko radiowcom, wyczuł we mnie przyszłego radiowca, ja jednak skłonny jestem przypuszczać, że chodziło zupełnie o coś innego. Trzeba otóż pamiętać, że były to czasy gwałtownej i niczym nie pohamowanej ekspansji telewizji. Władze, zachłystnięte siłą oddziaływania nowego środka masowego przekazu — radio spisały na straty; telewizja w pojęciu wielu „decydentów” była właśnie radiem, tyle że ulepszonym. Wielki Słepiec otrzymał w darze od natury wzrok; niech żyje ozdrowieniec! Brzeczki miał umrzeć śmiercią naturalną, a więc jeszcze bardziej naturalną konsekwencją takiego nastawienia było zaniechanie wszelkich inwestycji radiowych. Nie przyjmowano też nowych pracowników, co można stwierdzić nawet dzisiaj, bo w całym Radiokomitecie nie ma właściwie ludzi w moim wieku, czyli około pięćdziesiątki. Są starsi, tuż przed emeryturą, i młodszy, w pobliżu trzydziestki, zatrudnieni znacznie później, kiedy zrozumiano wreszcie, że radio i telewizja to są zupełnie różne media. Byłem zatem tym koniecznym wyjątkiem, potwierdzającym ponoć każdą szanującą się regułę.

Tak czy owak — dosłownie z dnia na dzień wpadłem w wir zajęć, o których nie miałem najmniejszego pojęcia. Jurek oprowadził mnie po rozgłośni, przedstawił nowym koleżankom i kolegom, z grubszą wyjaśnił zasady montażu taśmy magnetycznej, klejonej jeszcze wtedy śmierdzącym acetonem, i — do roboty, masz mi na jutro przynieść plan! No więc przyniosłem chyba z dziesięć pomysłów na różne audycje, z których — jak pamiętam — tylko jeden został przyjęty.

Nigdy nie zapomnę tej mojej pierwszej, choćby tylko z tego powodu, że rodziła się ona w bólach i mękach. Wymyśliłem sobie mianowicie taką, dosyć hipotetyczną, sytuację: jadę do jakiegoś małego miasteczka na głębokiej prowincji, spotykam księdza, lekarza i aptekarza różnych w brydża albo — jeszcze lepiej — w preferka, gadających przy tym o różnych swoich sprawach; jak ich nagram, będę miał piękny obrazek z życia wzięty! No cóż, pomyśl jak pomyśl, tylko z której strony zabrać się do niego? Znałem kilku lekarzy, aptekarzy, nawet księży, nie znałem jednak takiej mieszczyny, w której mieszkaby cała trójca, zaprzyjaźniona z sobą i ze mną. Przecież nie pójdę na pierwszą z brzegu plebanię i

nie powiem księdzu: „Ojciec mnie wprawdzie nie zna, ale może ułtujemy sobie roberka?” Jakby na złość — tam, gdzie księdza miałem znajomego, aptekarza akurat nie było, a gdzie był, lekarza brakowało lub vice versa. Tak więc po tygodniu gorączkowych poszukiwań, aby nie dopuścić do klęski na samym progu mojej radiowej kariery, „reportaż” nagrałem w Zambrowie, w aptece kumpla po byłym fachu, magistra Tośka Jarockiego. Nie było to wprawdzie akurat „to” miasteczko ani mój ksiądz sutanny raczej nie nosił na co dzień, ale audycja była — i jak mi się dzisiaj wydaje — wcale nie najgorsza, wzięwszy pod uwagę tak zwariowany debiut.

pielki”. Aby dostać się do nas, trzeba było przejść przez sekretariat z sekretarką urzędującą na korytarzu, a także przez pokój administracji, którą zarządzał Witek Bober, człowiek-legenda. Onże właśnie, wracając kiedyś z Warszawy radiowym samochodem, powiedział do zmęczonego całodzienną pracą kierowcy: „Niech pan się zdrzemnie za fajera, jak coś będzie jechać z przeciwnej strony, to obudź!” Kierowca, słynny Mietek Cisz, zwany przez dziennikarzy profesorem, bo zawsze lepiej od nich wiedział, dokąd jechać, żeby nagrać coś interesującego na określony temat, natychmiast orzeźwił i już bez przeszkód dojechał na miejsce.

Wszakże i w radiu coś zaczęło się w końcu zmieniać. Moje pierwsze bezpośrednie wystąpienie antenowe składało się wprawdzie z kilkunastu słów zaledwie, ale mimo to długo będę je pamiętał. W pierwszej milicyjno-radiowej akcji pod hasłem: „Stop, dość wypadków na drodze!” — brałem udział w charakterze lotnego reportera, który wpada do studia prosto z trasy i na gorąco relacjonuje przebieg tragicznych wydarzeń drogowych, jeśli akurat miały takowe miejsce. Na mojej drodze, prowadzącej z Białegostoku do Białowieży, nie wydarzyło się nic godnego uwagi, więc tylko tyle miałem właśnie powiedzieć. Wbiegłem do rozgłośni we właściwym czasie, rozjeżdżałem się i od razu zauważyłem, że coś tu jakby nie gra.

— Włącz do studia — burknął technik z miną ponurą — zaraz wchodzisz na ogólnopolską antenę.

No więc wszedłem do środka i coś spostrzegłem? Wewnątrz siedziało jakichś dwóch smutnych dzentelmenów; jeden w pobliżu mikrofonu, drugi nieco dalej, obok kotary wygłaszające echo. Oblicza mieli groźne, oczy czujne, muskuły napięte. To na wypadek, gdybym przypadkiem zechciał powiedzieć coś więcej, niż trzeba... Dzisiaj, kiedy bezpośrednio na antenę idą głosy ludzi spotkanych przypadkowo na ulicy, może się to wydawać śmieszne, ale wtedy wcale nie było mi do śmiechu.

Na dłuższe profesjonalne wejścia na żywo nie czekaliśmy już długo. Powiały nowe wiatry, radio podniosło się z kłęczek. Ktoś zrozumiał wreszcie, czym ono rzeczywiście jest i jaką rolę ma do spełnienia w społeczeństwie. W szybkim tempie powstał gmach rozgłośni, po którym chodziliśmy odurzani wprost nieprawdopodobnie ogromną przestrzenią, a także, szokującym wszystkim, radiowym osprzętem, który — co tu dużo mówić — przez dłuższy czas był na dotarcie i płatał figle w najmniej spodziewanych momentach. Tymczasem nowy redaktor naczelny, Janusz Weroniczak, postanowił dać nam wszystkim szkołę radia „prawdziwego”, bo takie wtedy obowiązywały trendy i radio żywe uważane było za coś lepszego.

Pamiętam, któregoś ranka siedziałem zaspany w studiu, podając czas od czasu do czasu, prognozę pogody *et caetera*, gdy technik odezwał się przez domofon na jakieś pół minuty przed kolejnym wejściem: — Stary! Znowu coś trzasnęło i nie idziemy na antenę.

— Ożeż! — zazgrzytałem ze złościwą satysfakcją. — Zanim zaczniesz się ludzi zrywać z łóżek, najpierw trzeba doprowadzić do porządku cały ten interes. Teraz, mój szefie, powiem ci otwarcie, co o tym myślę, a ty posłuchasz sobie tego we własnym gabinecie.

Muszę wyjaśnić, że każde słowo wypowiedziane w studiu rejestrowane jest przez tak zwanego szpiega. Radio rzecz ułotna, a przecież zdarza się czasem konieczność powrotu do starych tekstów. Przygotowałem więc sobie taki tekścik, właściwie wiązanekę i czekałem na mikrofon. Dosłownie na kilka sekund przed wejściem znowu odezwał się domofon: — Stary! Zapomniałem ci powiedzieć, że nie idziemy tylko na ukaefach; średnie fale w porządku, promieniują z anteny.

Choć siedziałem na krześle, nogi ugięły się pode mną, a ciepła klucha uwięzła w gardle. Zapaliło się światło i zacząłem coś bredzić. W głowie kołatała mi się jedna tylko myśl natrętna: co by było, gdyby technik nie zdążył mnie uprzedzić? W ilu mieszkaniach ludzie usłyszeli coś, co, mówiąc ogólnie, nie było przeznaczone dla ich uszu? Miał rację spiker Józef Kościuczyk, powtarzając przy każdej okazji, że w studiu trzeba się zachować jak w świątyni. Nawet myśli muszą być wolne od zbężności.

WIESŁAW JANICKI

Świątynia



Białostocka rozgłośnia mieściła się wtedy w piętrowej willi.

czystych myśli

Później starałem się nigdy nie robić takich rzeczy, aż do czasu, kiedy wspólnie z Andrzejem Bartoszem zaczęliśmy się bawić w radiowy Teatr Naturalny. Ale jest to już temat na zupełnie inne opowiadanie.

Pod koniec lat sześćdziesiątych byłem radiowcem pełną gębą, a przynajmniej tak mi się wydawało. Miałem na swoim koncie ponad sto różnych pozycji, mniejszych i większych, nabrałem dziennikarskiej pewności siebie, potrafiłem też jako tako nagrywać i, oczywiście, montować nagrane dźwięki. Ciągłe nie mogłem jednak zrozumieć, na jakiej właściwie zasadzie funkcjonuje cały ten radiowy interes.

Białostocka rozgłośnia mieściła się wtedy w piętrowej willi przy ulicy Akademickiej, w sześciu czy siedmiu pokojach z kuchnią oraz łazienką. My (to znaczy: redakcja literacka) urzędowaliśmy na przeszkłonej werandzie, o ściankach z dyktu, gipsu i papieru. Na mikroskopijnej powierzchni stały cztery biurka. Jedno z nich zajmowałem do spółki z Edkiem Redlińskim, późniejszym autorem słynnej „Kono-

Ale wracam do tematu. Otóż na piętrze mieścił się jeszcze gabinet szefa z biurkiem przeznaczonym dla wice-, pokój redakcji rolnej, dwie montażówki i maleńki kibel. Bywało, kolejni się przy nim tworzyli kilkuosobowe, wszak pracowało w willi osób prawie siedemdziesiąt.

Parter zajmowała technika, ale też księgowość, straż przemysłowa, dziennikarze z dziennika, sportowcy i w ogóle cała reszta. Jeśli dodamy do tego licznie odwiedzających rozgłośnie interesantów, zaproszonych rozmówców, aktorów i muzyków, będziemy sobie mogli wyobrazić ten ciągły gwar i niesamowity czasem rejewach. Studio jedno, nagrywających wielu, a więc znowu tłok, kolejki, praca na styk i nieuniknione przy tym wypadki na antenie, takie jak słynna wyspa Leszka Tarasiewicza, który w piętnastominutowej audycji trzy razy powtórzył ten sam krótki wywiad z jakimś sportowym szefem. A przecież nagrywało się wtedy wszystko przed emisją; „na żywo” miał prawo mówić tylko spiker prowadzący program.

zbliżenia



WSZYSTKO JEST TAK, jak przedtem? Nie, wtedy nie rósł w tym miejscu jesion, a w tamtym — topole. Tu stodoła (— Siedziałem w górze na konicy — nie i przez szparę widziałem wszystko), tam stoi jeszcze ta piwnica. I ten dom też stoi.

Wieczorem wpadła do nich dziewczka z Sutek: — „Panie, pan trzyma Żydów. Ludzie głośno o tym mówią. Przyjechałam pana ostrzec. Niech pan nie ryzykuje. Kara śmierci”. „Ja, Żydów? Co pani mówi? Skądże. Gdzie bym ich trzymał? Pięcioro dzieci, swój rozum przecież mam” — wypierał się pan Franciszek Jędrzejczuk, gospodarz najlepszy w okolicy: dziesięć hektarów, dziesięć krów; przed wojną za samo mleko brał 500 złotych miesięcznie (a wtedy były to duże pieniądze).

Tak mówił pewny swego, a raczej tych dwóch kryjówek. Jedną w letniej kuchni, między podłogą a betonową piwnicą (z metr wysoka, ze cztery metry długa), drugą w domu, pod podłogą (ok. 20 metrów kwadratowych). Wyjmowało się deski — stała na nich szafa pod ścianą. Spokojnie poszli spać. O brzusku już byli tu Niemcy.

W pobliskim Czyżewie przed wojną więcej niż połowę mieszkańców stanowili Żydzi. Zajmowali się przede wszystkim handlem. Tutaj też w czasie wojny utworzono getto, za bożnicą. Początkowo można było wyciągać zagrożonych pod pretekstem szukania rąk do pracy. Franciszek Jędrzejczuk w ten sposób uratował ojca i syna. Potem wziął następnych; prosili jedni za

Ojcu kazali się położyć. Położył się z głową wtuloną w ramiona. Strzelili w głowę.

Nie zadowolili się tą zbrodnią. (— Donos? Czyj? A może ktoś zauważył spacerujących w nocy po obejściu? Trudno dziś dociekać). Weszli do domu. Odsunęli szafę... Tam było piętnaście osób. Przyjechały po nich dwa wozy, zabrano wszystkich, nawet dzieci, z powiazanymi do tyłu rękami.

Na cmentarzu w Czyżewie spoczywa Franciszek Jędrzejczuk. Tych trzech, których chciał ocalić, leży na jego polu, za tymi topolami. Pozostałych rozstrzelano w Szulborzu, jedynie trzech mężczyzn zostawiono do posługi. Gdy Niemcy się wycofali, zabrali ich z sobą. Jeden zginął, jeden jest w Ameryce (— Nazywa się Muncarz), los trzeciego nieznany.

Schutzmann, który zabił pana Franciszka, żył tylko niespełna dwa miesiące. W maju, gdy wychodził z piwiarni w Czyżewie, został zastrzelony. Przez kogo? Do dzisiaj nie wiadomo. Podejrzanych było trzech, w tym Henryk Jędrzejczuk. Przyszli po niego żandarmi; uciekał do lasu. Nie zdołał. Przesłuchiwał go Schutzmann Pojżny (— Ten był dobry, ludziom pomagał i Niemcy go wysłali do obozu). „Czemuś uciekał?” „Mówili, że rewolucja” — tłumaczył się Henryk. Wypuszczono całą trójkę. Spili się ze szczęścia. Już żegnali się z życiem.

MIAŁ 15 LAT. Ilu się uratowało z tego warszawskiego transportu? Może tylko on jeden? Józef Fajwiszyc, syn profesora muzyki. Mieszkali w Łodzi, chłopiec



zować? Wójt Stanisław Oleński (członek ruchu oporu) postarał się o znakomite papiery. Odtąd „kuzyn” księdza nazywał się Józef Kutrzeba.

Ze względu na sąsiedztwo żandarmów nie było to bezpieczne miej-

sczyno, czy uda się to także i mnie. Takich przykładów niesienia bezinteresownej pomocy drugiemu człowiekowi było zresztą więcej. Podobnie jak Jędrzejczuk, ukrywał w swoim gospodarstwie siedmiu Żydów 36-letni Józef Rydzewski (gospodarz na 120 hektarach ze wsi Budy Stawiskie). Pewnego razu jeden z chłopów wyszedł w biały dzień z kryjówki (lekkomyślność czy akt rozpacz?); trafił chłopa, że przejeżdżali żandarmi. Zobaczyli go. Torturowany, bity, wydał wszystkich. Wydał na nich wyrok śmierci; także na Józefa Rydzewskiego. Takie medale otrzymało 10 osób (na trzy województwa).

— Na tych terenach kwestia pomocy z narażeniem życia bądź odmowy była chyba dylematem moralnym wielu Polaków. Ilu Żydów mieszkało tutaj?

— Przed wojną w regionie białostockim mieszkało 170–200 tysięcy Żydów. W całym kraju stanowili oni niespełna 10 proc., tutaj natomiast 12 proc., osiedlonych przeważnie w miastach. W Białymstoku na 107 000 mieszkańców prawie połowa to byli Żydzi. W Łomży, na 25 000 mieszkańców, 35 proc. stanowiła ludność żydowska. Do tego należy dodać jeszcze 3000 osób, które przybyły w 1939 roku, wysiedlone przez Niemców z Ostrołęki. W sumie więc ponad 11 000; dużo.

— Czy zachowały się jakieś materiały dotyczące getta w Łomży?

— W 1963 roku została wydana w Tel-Awiewie Księga Pamiątkowa poświęcona gettu w Zambrowie, w 1971 — w Kolnie. Znajdują się one (w języku hebrajskim) w Żydowskim Instytucie Historycznym w

MOGLI POWIEDZIEĆ: NIE

drugimi. Kiedy zaczęto mówić o likwidacji getta, pewnej nocy zjawił się u Jędrzejczuków znajomy Żyd stamtąd: chciał uciec, z dziećmi i kobietami. Czy ich przyjmie? Gospodarstwo jakby schowane, w bok od drogi, do obcych daleko. Najbliższy sąsiad to rodzina, za domem pola i — dalej — las. Miejsce pewne i na pozór zupełnie bezpieczne. Tak im się wówczas wydawało. Zgodził się; razem było ich osiemnastu, w większości dzieci. Zjawił się jesienią, nocą wychodził spod podłogi na spacer.

Przyszli o świcie 20 marca 1943 roku. Henryk Jędrzejczuk, dzisiejszy gospodarz, miał wtedy 20 lat. Już wstawali, gdy zajęła bryczka: dwóch żandarmów i dwóch Schutzmannów. Otoczyli dom (— Matka i siostra uciekły zaraz na strych). „Gdzie są Żydzi?” „Nie ma” — zapewniał pan Franciszek. Trzy razy go pytali. Nie wydał; przecież zawierzyli mu swoje życie. Zaczęli szukać. Od razu poszli do tej letniej kuchni. Pukali kolbami w podłogę; aha, inny odgłos. Za siekierę (co czuli, skuleni, słysząc nad sobą ten odgłos?). Są. Znaleźli trzech młodych ludzi. „Wychodzić!”

— Nie chcieli, przerażeni. Niemcy strzelali do ciemnego wnętrza. Wyszedł. Jeden z Niemców kazał bratu i mnie odejść. Uciekłem do stodoły — wspomina Henryk Jędrzejczuk. — Zabili ich natychmiast, tu, przed wejściem do piwnicy.

uczęszczał do gimnazjum. Kiedy zaczęło się piekło (likwidacja getta), udało im się dostać do Warszawy. Wierzyli wówczas, że tam bezpiecznie.

Jechali do obozu razem: jego rodzice i siostra. Wiedzieli, że czeka ich śmierć. Pociąg z Żydami jechał bez zatrzymywania. Tory w niektórych miejscach były obstawione żandarmami. Przy szybkości 60 kilometrów na godzinę skok z pociągu często kończył się tragicznie. Chłopiec (za namową rodziców?) zaryzykował; stało się to prawdopodobnie w okolicach Małkini. Błąkał się, trafił do Hodyszewa na plebanie. Proboszcz, ks. Józef Perkowski, miał już sporo takich podopiecznych, wysłał go więc do ks. Rocha Modzelewskiego do Piekut Nowych (kto był jego przewodnikiem?).

W Piekutach trudna sytuacja: na plebanii żandarmi. Ks. Modzelewski i wikary ks. Stanisław Falkowski mieszkali w swoich parafian i wszędzie, gdzie tylko mogli, ukrywali Żydów — w sumie ok. 10 osób, także z Białegostoku. Mogli więc powiedzieć: nie! Nie możemy już wziąć tego chłopca. Stał wycieńczony, brudny, w ciągłym lęku, gotów do ucieczki. Ksiądz Falkowski, wówczas 25-letni, przyjął go do swego pokoju jako „krewnego”. Pielęgnował, wyciągnął z choroby skóry, uczył religii, ochrzcił. Józek zresztą dobrze mówił po polsku, więc może go zalegali-

sce. Wójt wziął go do siebie, do Wierchowiny; opiekował się nim razem z żoną, Walerią.

— Zimą z 1942 na 1943 ojciec przyprowadził do nas chłopaka — wspomina Władysław Oleński, dzisiejszy geolog osiadły w Warszawie, wówczas 10-letni uczeń. — Powiedział, że będzie u nas mieszkać i spać ze mną w pokoju. Razem jedliśmy, pomagał mi przy odrabianiu lekcji. Był bardzo grzeczny, uprzejmy. Nie pamiętam jego imienia.

Potem Józka zabrał do opieki nad swoimi dziećmi sam komisarz Thamm. Gdy jego żona i dzieci wróciły do Reichu, chłopiec został wysłany na roboty do Niemiec. Co czuł w domu Thamma? Co przeżył potem, pracując u Niemców? Po wyzwoleniu wyjechał wraz z innymi do Stanów Zjednoczonych. Ocalał. Do dziś nosi nazwisko Kutrzeba.

Na jego wniosek Trybunał w Tel-Awiewie przyznał ks. Stanisławowi Falkowskiemu medal „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.

O TAKIE ODZNACZENIE, pośmiertne, wystąpiłem także dla Stanisława i Walerii Oleńskich oraz ks. Rocha Modzelewskiego — mówi Waldemar Monkiewicz, przewodniczący Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Białymstoku. — Regulamin przewiduje, że wnioski takie mogą składać tylko uratowani Żydzi, mieszkający za granicą. Zoba-

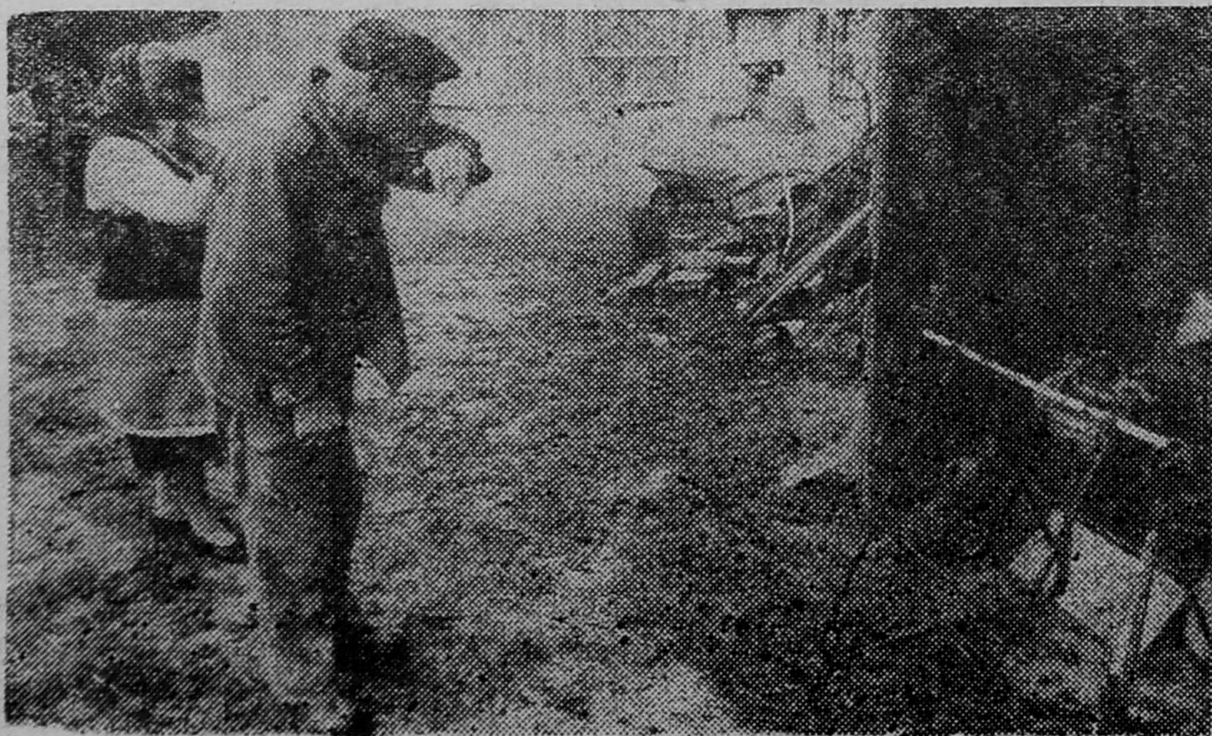
Warszawie. Z księgą getta łomżyńskiego nie zetknąłem się. Nie wiem, czy została opracowana.

— Ziemia ta naznaczona jest szczególnym męczeństwem. Pogromy i kaźnie w Czyżewie, Rajgrodzie, Wąsoszu, Szczuczynie; długo można by wymieniać miejsca tragedii. W Grajewie Niemcy żywcem spalili w jednym z budynków nieletniego chłopca. Bolesna pamięć.

— Wszystkie te fakty mamy dokładnie zarejestrowane. Przy okazji chciałbym sprostować pewną liczbę. Otóż 10 czerwca 1941 roku w Jedwabnem na rynku zgromadzono mieszkających tam Żydów i popędzono do stojącej za miastem stodoły. Oblano benzyną; wszyscy zostali spaleni żywcem. Na tablicy pamiątkowej w Jedwabnem (głaz w miejscu kaźni) znajduje się liczba „ok. 1600 Żydów”. Przed wojną w Jedwabnem mieszkało 900 Żydów; nie wiem, dlaczego podano o 700 więcej. Ktoś się pomylił. Nawet gdyby uwzględnić uciekinierów z innych miast, nie mogło ich być aż tylu. Wiem też, że wprawdzie nie liczni, ale niektórzy z tego pogromu się uratowali. Nie stawili się na rynku, uciekli. W sumie jednak na tych terenach przeżyło niewielu.

W miejscu, gdzie został zamordowany Franciszek Jędrzejczuk, jego syn, Henryk, posadził drzewo. Powiedziano mu potem: „Gdyby ojciec powiedział, gdzie są Żydzi, może ocaliłby życie”.

ALICJA NIEDŹWIECKA



Iechak Szumowicz żyje w żydowskim państwie Izrael; Mieczysław Gosk — ciągle w tych samych Wyrzykach, przy skrzyżowaniu polnych dróg do Wypych, Wygody, Pniewa, Puchał. W linii prostej dzieli ich teraz dwa tysiące pięćset kilometrów. Ale to nic. Gosk doskonale rozumie płacz Szumowicza.

— On był w grobie. I zmartwychwstał.

— Dzięki wam — mówię. — Tak jakoś wyszło — odpowiada i nie ma w tym chytruskiej skromności, bo prosi: gdy na starość wreszcie na dobre stanęli na nogi, jego własny kulas trach w samej kostce i od roku kuśtyk-kuśtyk, zrosnąć się nie chce. Tak wyszło.

Tak wyszło, że we wrześniu 1939 miał szesnaście lat, więc na wojaczkę za mało.

Tak wyszło, że w 1941, kiedy podpadał pod rozkaz Armii Czerwonej, przyszli Niemcy.

Wyszło, że znał dobrego człowieka, który pomógł mu wyrwać się z przymusowych robót dla Reichu.

Ze Żydów Srylków z Gaci zobaczył u nich kiedyś sąsiad. Srylkowie musieli iść dalej, a on mógł przechowywać Hankę Szarfman, koleżankę z siódmej klasy.

Różne rzeczy wyszły. Dobrze w biedzie i źle w dobrym. I teraz ta noga.

jasne plany sojuszu

Ojciec pana Mieczysława, Józef, był takim chłopem, że konia, który wpadł do dołu, wyniósł na plecach. No, nie jak barana, nie. Podszedł się pod przód, koń hop przednimi kopytami; podszedł się pod tył, koń hop i już na górę. Henryk, syn Mieczysława a wnuk Józefa, nie bardzo potrafi wyjaśnić, ale mówi, że nie do końca chodzi tylko o siłę dziadka. Chce powiedzieć, iż budził szacunek. Sam też zresztą szanował ludzi. Mieczysław nie pamięta, by w domu mówiło się źle o kimś tylko dlatego, że jest Żydem, Ruskim czy innym. Może z wyjątkiem Niemców, ale to później. W 1937 roku chodził natomiast do jednej klasy („siódmy oddział”) z Hanką Szarfman i było to tak oczywiste, że nie ma o czym mówić. Również, Żyd czy nie Żyd, był kolegą; w każdym razie — dla niego. Potem może trochę się zmieniło. We wrześniu 1939 Niemcy weszli załedwie na parę dni, potem cofnęli się, przyszli Rosjanie. Żydzi byli za Rosjanami; Rosjanie poobsadzili nimi urzędy, liczyli się z nimi bardziej niż z kim innym. Wielu ludzi pojechało wtedy daleko, na Sybir. Z Wyrzyk wprowadzili tylko dwie rodziny, ale wśród nich znaleźli się Goskowie. Ktoś doniósł, że mają broń; w każdym razie, by znaleźć się na liście, dużo nie trzeba było. Mieczysław uciekł, ukrywał się do połowy 1941. Brat, Michał, trafił gorzej. Złapali go za Rutkami, dostał osiem lat. Matka zmarła gdzieś pod Uralem, siostra wróciła po wojnie.

Gosk mówi o tym, bo pytam. Ale uważa, że pisać nie warto. Mamy sojusz z rosyjskimi? Mamy. Więc właśnie dlatego. Zaczął tak myśleć od chwili, gdy w Izraelu zobaczył, że Żydzi zachowują się wobec Niemców jakby nigdy nic. Zdumiał się, zapytał: jak wy tak? Usłyszał, iż czas płynie. I polityka. Tam nikt nie lubi polityki, a wszyscy to pojęli. U nas, pomyślał, co drugi to polityk i pewnych rzeczy nie możemy sobie przetłumaczyć. Zresztą Michał, który wprost z tury trafił do Sikorskiego, potem objechał pół świata, prawie sto razy skakał ze spadochronu i żyje w Anglii, gdy po dwudziestu paru latach przyjechał w odwiedziny do Wyrzyk, powiedział: „Dali osiem lat, ale Niemiec zastrzeliłby na miejscu jak psa”. I jeszcze dodał: „Nie ma lepszych ludzi, jak Rosjanie”.

ukaz się mój narodzie

To był zły czas na młodość, na miłość, na rodzinę, na życie, nawet na śmierć. W zły czas niekiedy można tylko coś uratować, niekiedy, na szczęście, ocalić. Na początku 1943 roku Mieczysław



W Alei Sprawiedliwych zasadził drzewko oliwne.

brał, mówi, „niemiecki” ślub. Helena pochodziła ze Starej Łomży. Czas nie czas, ale odnaleźli się. Mieli po dwadzieścia lat. Wkrótce urodził się im syn, Henryk.

Piątego października 1943 żydowski poeta, Iechak Kacenelson, w rozpaczy pisał na kartce papieru:

„Ukaż się mój narodzie, zjaw się,
wyciągnij ramiona
Z głębokich dołów, tych, któreś
po brzegi wypełnił sobą
Warstwą na warstwie pokrytą
wapnem i żarem spaloną
Powstań!”

Pierwszego listopada Goskowie jechali na Święto Zmarłych do Starej Łomży. W drodze trafili na

Przed nimi kilkanaście dni ukrywali się w piwnicy Srylkowie z Gaci. Któregoś dnia sąsiad zobaczył jednego z nich. Musieli uciekać; nie dlatego, że sąsiad doniósł, ale dlatego, że przetrwanie ratującym i ratowanym gwarantowała tylko pełna tajemnica. W każdym razie po tym, jak Helena zobaczyła kiedyś, co głodni, zamknięci ludzie mogą zrobić z ciałem zmarłego towarzysza, zrozumiała, że ludzie są zdolni do wszystkiego. O Szarfmanach i Szumowiczach nie wiedział więc nikt. Nawet matka Heleny. Gdy odwiedzała ją niekiedy, dziwiła się: „Po co ty, córko, obierasz tyle ziemniaków”. Trzeba było szukać dobrego wykrętu.

OGRODNIK z Alei Sprawiedliwych

straszną kolumnę: czterech Niemców na koniach, psy i setki Żydów. Szli w kierunku Giełczyna. Potem ludzie opowiadali, że w miejscu, gdzie zostali zakopani, ziemia ruszała się jeszcze następnego dnia.

Tej daty nie mogą sobie przypomnieć za nic. Był zmrok. Helena obrzuciła krowy i wracała do domu. Na progu siedział człowiek. Był to stary Nachman Szarfman z Wygody. Potem długo rozmawiał ze starym Goskiem. W kilka dni później zjawił się jego syn Judka z żoną, córką Chaną, synem Cwi oraz Iechakiem, rodziną Szumowicza. Gdzieś w lesie dołączył do nich Josef Kwiatek z Gaci; razem dziewięć osób. — Tak jakoś wyszło, mówi Gosk, zostali.

A własna żona, dziecko, życie?

— To można było wyrzucić człowieka na śmierć?

Z ojcem i Heleną doszli do wniosku: „Nie można. Nie wolno!” Więc w chlewie dla świń wykopali jamę. Obudowali deskami, przysypali ziemią. Do jamy zeszło dziewięciu ludzi, nad jamę wprowadzili kilka świń. Przez zamaskowany otwór w fundamencie dopływało świeże powietrze, przez otwór w „suficie” — jedzenie. Dziewięciu ludzi przesiadziało w tej norze dziewiętnaście miesięcy.

Kiedy wszyscy byli już u kresu sił, zbliżył się front. We wsi pojawili się Ukraińcy. Do Gosków przyszedł Niemiec. Kazał natychmiast się wynosić. Tu stał. Obok stała Helena z dzieckiem. Mieczysław wymknął się do Żydów: „Musicie uciekać z nami. Wmieszacie się w tłum”. Powiedzieli, że zostaną. To było równoznaczne ze śmiercią. Gdzie przeszli Niemcy, zostawały popioły. Przekonał ich. Zaczął wprowadzać za stodołę. Helena zagadywała Niemca; spytała, czy ma dzieci. Pokazał, że czwórka. Zaczął płakać. Boże, ile to trwało! Ale nie obejrzał się. Za chwilę sami musieli wsiąść do furmanki i dołączyć do sformowanej kolumny. Kiedy wrócili, w miejscu chlewika sterczały fundamenty. Dowiedzieli się, że Judka zginął gdzieś pod Modzelami. Ale przeżyła Chana („Hania, koleżanka z siódmego oddziału”), przeżył Cwi („nasz Jasiulek”), matka Chaja („Halinka”) i wszyscy inni.

Potem wyjechali do Łodzi. Potem do Niemiec. Potem do Izraela.

pietu

Helena Gosk zapewne nie wie, co to jest pietu. Nie wypadało pytać. A opowiadała: „W kapliczce w Puchałach leżeli pobici. Polacy przez Polaków. Wśród nich cała



Chajka („Halinka”) Szarfman — najmłodsza z uratowanych.

rodzina z Ład. Skurczona matka trzymała w ramionach dziewczynkę. Trzymały się w objęciu nawet po śmierci”.

W okolicy grasował „Rola”. Wystarczyło donieść w złości: „To szpiecel”, i był trup. Któregoś dnia do Mieczysława przyszedł „Kruk”. „Kruk” był z Wyrzyk, no, chłopak zza płotu. Mówi: „Chodź do nas, do partyzantki”. „Mam żonę, dziecko i robotę na głowie, a nie partyzantkę”, „Kruk” odszedł. Potem zniknął. Pojawił się w 1963 roku na weselu brata i siostry. Gdyby nie jeden człowiek, ludzie z okolicy zatlukiliby go kołkami.

— Polak zawziął się dla Polaka — mówi Mieczysław Gosk. Wie, bo swoje przeżył i trochę tego świata zobaczył.

ogrodnik z Alei Sprawiedliwych

O zaciętości najbardziej przekonał się w Wiedniu. Wtedy nie myślał już o tej wojennej, powojennej, „partyzanckiej”, „kułackiej”. A ta zwykła, dzisiejsza, małutka, wredna zaciętość na co dzień?

W Wiedniu miał dwie godziny i konieczność uzupełnienia dokumentów na dalszą podróż do Izraela. W Polsce Goskami na razie nie interesował się nikt. Uratowani w chlewie jednak nie zapomnieli. W 1963 roku zaprosili do siebie Mieczysława, w 1985 — Helenę. Mieczysław jechał pociegiem przez Pragę, Wiedeń, Rzym, Neapol i statkiem „Moldet” do Tel-Awiwu. Bez języka, bez przewodnika. W Wiedniu odszukał wskazaną na adresie ulicę i tu począł się kręcić: po biurze ani śladu. I wtedy zaczęli podchodzić do niego ludzie, pytać obcym językiem, czy nie potrzebuje pomocy. Bez skutku. Wreszcie ktoś zagadnął po rosyjsku. Odpowiedział: „Skazicie, chazajka”, i dalej jakoś się zrozumieli. W ostatniej prawie chwili odnalazła przeniesione gdzie indziej, na czas remontu, biuro, a on sobie przypomniał: wczoraj pomagałem Rosjanom w Warszawie, dziś mnie Rosjanka pomogła w Wiedniu. Na statku kapitan Wardy na wieść, że Polak na pokładzie, zorganizował przyjęcie. W porcie czekali na niego przy samym trapie, porwali na ramiona. Obejrzał ruiny budowli Heroda, w Alei Sprawiedliwych zasadził drzewko oliwne. Gdzie się pojawił, zapraszali na uroczystość, mówili: „Nie zapomnimy!”

W Tel-Awiwie na rozpoczęcie kongresu o czasie Zagłady czekały trzy tysiące ludzi (bo trochę się spóźnił). Po powitaniach zaczęły padać z sali zarzuty, że Polacy pomagali Niemcom mordować Żydów. Kilka dni wcześniej spotkał Żydówkę przechowaną przez Niemkę. Mąż przyjeżdżający z frontu mówił jej: „To Żydówka”, lecz ona sprytnie odsuwała jego podejrzenia. Po wojnie Niemka pisała: „Cieszę się, że udało się Pani uratować”. Więc nie ma tak, że wszyscy są dobrzy albo wszyscy źli. Dlatego odpowiedział: „I u nas, i u was, wszędzie trafiali się tacy, że mogli wydać lub zabić brata. Czy za nich możemy mówić o nas lub o was: wszyscy?”

W kwietniu 1985 roku Helena Gosk przysiadła pod dużym drzewem oliwnym, zasadzonym dwadzieścia dwa lata wcześniej przez Mieczysława. Zdjęcie spod jego rozłożystych gałęzi zawędrowało do gazet, tygodników, telewizji. Doktor Mordechaj Paldiel z Yad Vashem powiedział, że ich drzewo było jednym z pierwszych w Alei Sprawiedliwości: „Teczka rodziny Gosk nosi numer 50; dzisiaj prowadzimy już teczkę nr 3200. Ale teczka nr 50 to jest „sipur klasa”, klasyczna opowieść dziejów losów żydowskich i ratowania Żydów w latach zagłady”.

Iechak Szumowicz, po trzydziestu latach milczenia, napisał książkę. Napisał o ludziach, którzy stawiali swoje życie za życie innych. — I nie za pieniądze, złoto czy brylanty, bo nie mieliśmy tego.

Helena Gosk wróciła z Jeruzolim z medalem „Sprawiedliwi wśród narodów świata”. W ZBoWiD-dzie w Łomży, do którego chciała się zapisać, powiedzieli, że za takie sprawy nie zapisują. Pan, który ją przyjął, ciekaw był natomiast niezmiernie samego medalu. Przynał, że nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział.

WŁADYSŁAW TOCKI



kontakty kontaktów

Artykuł pt. „Wstyd” („Kontakty” nr 34/87) przypominał mi inną, równie ciekawą historię, związaną z placem zabaw dla dzieci.

Przed moim blokiem jest tylko piaskownica, oblegana przez grono dzieci w wieku 2-7 lat. Znajdujący się w niej piasek dawno przestał przypominać piasek. Stał się mieszaniną ziemi, papierów, szkła, cegieł i niewidocznych gołym okiem innych elementów. Jesienią ubiegłego roku obiecałam dzieciom, że wiosną przypilnuję, aby piaskownicę oczyszczono i przywieziono czysty piasek. Późną jesienią do piaskownicy przywieziono piasek z prawdziwego zdarzenia. Przeznaczono go do posypywania ulic w czasie zimy. W administracji osiedla „Centrum” obiecano mi, że wiosną piaskownica zostanie oczyszczona i również dzieci otrzymają czysty piasek. Wiosną w pobliżu piaskownicy zapadł się z niewiadomych przyczyn asfalt. Do dużej dziury spływała wraz z ziemią i piaskiem woda. Poinformowałam o tym administrację. Dziury nie „zalatano”. Widocznie uznano, że została wystarczająco zasypana przy pomocy sił natury. Dziś rzeczywistość nie nie widać. Mam nadzieję, że pod piaskownicą znajdują się rury z zimną wodą i żadne z dzieci, przy ewentualnym zawaleniu się gruntu pod nogami, nie ulegnie poparzeniu. Na pytanie, kiedy zostanie wywieziony brudny piasek z piaskownicy, usłyszałam: „Jak tylko się ociepli”. Ociepiał się długo. Jeden z pracowników administracji podsunął mi myśl, że w ramach czynu społecznego można wyrzucić brudny piasek, zaś ten przywieziony jesienią wrzucić do piaskownicy. Usunięciem starego zajmie się ciągnik ze spółdzielni. Racja, zamiast ciągle machać płótnem, mogę pomachać łopatką. Kiedyś pchałam kulką i rzucałam dyskiem, więc sił mi nie zabraknie.

Od sąsiadów pożyczyłam łopatkę i w miarę swych babskich możliwości uporządkowałam piaskownicę. Cuchnący piasek zebrałam w jedno miejsce. Pozamiatalam plac wokół piaskownicy. Z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku oglądałam pęcherze na dłońach. Następnego dnia rano wyszłam z domu, aby zameldować w administracji, że robotę wykonałam. To, co zobaczyłam, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Wokół piaskownicy panował idealny porządek, zaś w niej piętrzył się szczyt przypominający Rysy. Piasek przeznaczony do wywózki wraz ze wszystkimi śmieciami został ponownie wrzucony tam, skąd go wyrzuciłam. Czysty dokładnie wymieszano z brudnym. Trafili mnie... Powiedzieli komu trzeba i co trzeba. O dziwo, posłuchano mnie. Okolicę mojego bloku zaczęły lśnić czystością. Wymyło nawet szyby w oknach piwnicy. Tajemnica wyjaśniła się szybko. Pewnego dnia przed blokiem pojawiła się komisja sprawdzająca czystość. Powiedzieli wtedy tylko „dzień dobry” jednemu z członków.

Piaskownica jednak pozostała brudna i dzieci nadal bawią się w cuchnącym piachu. Kiedyś pozamiatano wokół niej, a zmieciione śmieci wrzucono ponownie do miejsca zabaw. Wychodzę z podziwu patrząc, jak pracownik administracji wskazuje dozorcę wyrastającą nieśmiało przy krawężniku trawkę i każe ją usunąć. Następnie przechodzi obok placu, który od przeszło trzech miesięcy nie widział miotły. Chce mi się wtedy krzyknąć, ale w porę przypominam sobie, że nie ukończyłam wydziału łopatologii na uniwersytecie glupoty i nie mam uprawnień, aby zwracać uwagę osobom odpowiedzialnym za machanie miotłą. Wstyd mi przed dziećmi z naszego podwórka, że nie dotrzymałam danej im przed rokiem obietnicy. Wiosną wyprowadzam się na dziełnicę teren osiedla Południe. Piaskownicy pewnie tam jeszcze nie będzie, ale czysty żółty i pachnący piasek znajdę na budowie. I to jest to.

GRAZYNA KULESZA-SZYPULSKA
Łomża

● 13 września 1939 roku wygasły ostatnie krwawe walki obronne, stoczone z faszystowskim najeźdźcą przez 18 Dywizję Piechoty i Samodzielną Grupę Operacyjną „Narew” w Łętownicy pod Andrzejewem.

● 13 września 1944 roku została wyzwolona Łomża.

Decydujące znaczenie dla wyzwolenia ziem polskich, leżących na wschód od Biebrzy, Narwi, Wisły i Wistoki, miały działania pięciu frontów radzieckich. 23 czerwca 1944 roku ruszyła z Białorusi ofensywa czterech frontów radzieckich: 1, 2, 3 — Białoruskich i Nadbałtyckiego, które w swych działaniach bojowych rozbiły w sumie 70 dywizji nieprzyjaciela. Po przełamaniu obrony grupy armii niemieckich „Srodek” pod Witebskiem, Orszą, Mohylewem i Bobrujskiem wojska te ruszyły na zachód.

Tereny leżące na linii Białystok—Łomża wyzwoliły wojska 2 Frontu Białoruskiego. Od 5 do 15 lipca 1944 roku, podczas nieprzerwanych działań pościgowych, przesunęły się na zachód o ponad 230 kilometrów i wyszły na przedpola Białostockizny i północnego Podlasia. Po kilku dniach przerwy rozpoczęły operację zaczepną, nazwaną później „Białostocką”. Główne uderzenie wykonała 3 armia, nacierająca na Białystok, która po krwawych walkach wyzwoliła miasto (27 lipca). W tym czasie 50 i 49 armia 2 Frontu Białoruskiego przecierały drogę na Rajgród i Osowiec.



Łomżyńskie wrzesnie

7 sierpnia 3 armia zdobyła Łapy, a 13 sierpnia — Wysokie Mazowieckie, natomiast wojska 49 armii 7 sierpnia wyzwoliły Knyszyn, a 13 sierpnia — Goniądz.

20 sierpnia dywizje 49, 9 i 3 armii rozpoczęły operację zwaną „Ostrołęką”. 22 sierpnia wojska 3 armii przy silnym wsparciu lotnictwa szturmowego 4 armii powietrznej, po krwawych walkach zdobyły Zambrów, a 24 sierpnia — Śniadowo. Tymczasem wojska 49 armii, po przegrupowaniu głównych sił, znalazły na lewym brzegu Narwi, uderzyły na odcinku Ostrołęka—Nowogród. 6 września wojska 3 armii pod dowództwem gen. płk. Aleksandra Gorbatowa wyzwoliły Ostrołękę i lewobrzeżne obszary nad Narwią w kierunku Różana.

Niemcy utrzymywali jeszcze duże tereny na lewym brzegu rzeki w rejonie Łomży i Nowogrodu. Odbicie ich przypadło 49 armii, wzmocnionej jednostkami 3 armii pod dowództwem gen. lejtnanta Iwana Griszina. Przygotowania do operacji „Łomżyńskiej” trwały do 10 września. Rejon ten był jednym z najsilniejszych węzłów obrony niemieckiej, osłaniającej południowe granice Prus Wschodnich. Na przedpolach Łomży Niemcy rozbudowali dwa ufortyfikowane pasy obronne oraz kilka mniejszych o łącznej szerokości 16-20 kilometrów. Główny pas (5-7 kilometrów) składał się z trzech linii rozgraniczających, oddalonych od siebie o ok. 2 kilometry. W tej strefie znajdował się system baz i inżynierskich budowli polowych oraz po dwie-trzy linie rowów strzeleckich. Na jej przednim skraju były zwarte zasieki z drutu i pola minowe, ponadto — przeciwczołgowe rowy i leśne zapory.

Kilka dni przed spodziewanym atakiem Niemcy przystąpili do burzenia Łomży; wysadzali budynki, niszczyli mosty. Część ludności ewakuowała do Piątnicy. 10 września o godzinie 6.30, po krótkim ar-

tyleryjskim ostrzale, grupa zwiadowców 1264 pułku strzeleckiego przeszła do ataku w rejonie Baczce Suche. Przeciwnik opuścił pierwszą linię okopów. Opanowawszy ją grupa ruszyła w głąb obrony wroga i zdobyła drugą linię. Podobne rezultaty osiągnęły oddziały z pozostałych dwóch pułków. Hitlerowcy zostali odcięci od możliwości przeprawy przez Narew na południe od Łomży. Zaczęli się wycofywać. Do zdobycia pozostał główny pas obrony na przedpolach miasta.

Rozpoczęły się ciężkie walki o Łomżę. Niemcy stawiali zaciekle opór i atakowali raz po raz. Ale pod wieczór 11 września „Orłowsy” wyzwolili wioski: Siemień Nadrzeczny, Podgórze, Giełczyn i kilka innych. W tym dniu wyzwolone zostały również Konarzyce, Chojny Młode, Miastkowo, Zaruzie.

12 września — po silnym lotniczo-artyleryjskim przygotowaniu ataku — piechota z czołgami ruszyła na umocnienia niemieckie. Najtrudniej było złamać opór Niemców na odcinku Konarzyce—Krasna, bowiem przebiegał tamtędy rów przeciwczołgowy, osłaniany przez pododdziały artylerii przeciwpancernej. Ale gen. Terentiew, dowodzący oddziałami 70 korpusu, zaatakował z południowego zachodu i do wieczora dywizje te przebiegły szosą Łomża—Ostrołęka, a następnie, po niezwykle zaciętych walkach, zdobyły fort 4 (tuż za obecnym LZPB „Narew”), zagradzając drogę do zachodniego przedmieścia. Hitlerowcy kontratakowali. Min. w wyniku kontrataku na pododdziały batalionu kapitana Kodima w Zawadach zginął dowódca i jego zastępca. Całą noc trwały zacięte walki.

13 września o godz. 4.30 żołnierze 1262 pułku strzeleckiego z 38 dywizji pod dowództwem gen. mjr. Kustowa wdarli się do miasta. Rozpoczęły się walki uliczne z grupami nieprzyjaciela, które osłaniały wycofujące się za Narew główne siły. O godzinie 6.00 miasto zostało zdobyte. W dniu 13 września wyzwolono także: Kupiski Stare, Łomżycę, Drogoszewo, Jankowo, Czartorie, Rybaki. Na przedpolach i ulicach Łomży oddało swe życie 2400 żołnierzy Armii Radzieckiej.

Zniszczenia miasta — wg obliczeń władz z maja 1945 roku — wyniosły 80 proc. Najbardziej uciążliwym było zniszczenie ulic nadnarwiańskich oraz położone na krawędzi skarpy. Całkowicie zburzone zostały budynki w obrębie ulic: Ściegiennego, Giełczyńskiej, 22 Lipca i placu Żeglarskiego. Na Starym Ryнку ocalał jeden dom, ratusz był mocno okaleczony i podziurawiony, a hala targowa — wysadzona w powietrze. Przy ulicy Rządowej pozostały trzy mocno uszkodzone domy. Zabudowania wokół placu Kościuszkowskiego były zniszczone w 100 proc., a ulica Zdrowia — spalona w 90 proc. Z 28 tysięcy mieszkańców Łomży okresu przedwojennego do miasta wróciło około 12 500 osób.

Następnego dnia po wyzwoleniu, tj. 14 września, zorganizowano przy ulicy Polowej (Armii Czerwonej) wiec, na który przybyli mieszkańcy Łomży, przedstawiciele Armii Czerwonej, Wojska Polskiego i przyszłych władz. Zebrani zostali zapoznani z treścią Manifestu Lipcowego.

Łomża była wolna, ale trwały jeszcze walki w rejonie Nowogrodu. 70 korpus gen. Terentiewa z 49 armii nacierał na Nowogród, a 343 białostocką dywizją piechoty, wzmocnioną 7 pułkiem czołgów gwardii, dwoma pułkami moździerzy i pułkiem artylerii przeciwpancernej, jeszcze 13 września walczyła o Matwiec i Grzymały Nowogrodzkie, które zostały wyzwolone dopiero rankiem następnego dnia. O godz. 17.00 doczekał się też wolności Nowogród. Do wieczora 14 września 49 armia całkowicie ooczyściła lewy brzeg Narwi z wojsk niemieckich od Pniewa do Leśnego Borku.

CHESLAW NICEWICZ
Fot. MIECZYSŁAW GREGOREK
reprod. BOLESŁAW DEPTUŁA

17 STYCZNIA 1944 roku w Parczewie miała miejsce egzekucja. Powieszono dwunastu ludzi przywiezionych z Zamku Lubelskiego. Mieczysław Jędruszcak stał — jak dziś opowiada — może z dziesięć metrów od szubienic. Widział wszystko. Pochowano ich na miejscowym cmentarzu. Jednakże na płycie upamiętniającej wydarzenie jest tylko sześć nazwisk i napis: „Tu spoczywają zamordowani w dniu 17 stycznia 1943 roku”. O cały rok skrócono życie dwunastu ludziom. Próbuje zabawy w idiotyczną statystykę można powiedzieć, że zaoszczędzono dwanaście lat. Czego? Pobytu w więzieniu, działalności konspiracyjnej czy też normalnej ludzkiej aktywności w niemożliwym czasie okupacji?

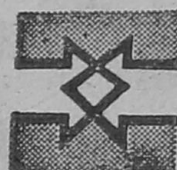
Mieczysław Jędruszcak postanowił odszukać nazwiska wszystkich powieszonych. Udało się mu zdobyć fotokopie niemieckiego obwieszczenia, w którym było dwanaście nazwisk. Nie mogło to stanowić jednak, według niego, miarodajnego źródła, jako że w ostatniej chwili Niemcy mogli kogoś podmienić. Napisał do parafii, na której terenie pochowano pomordowanych. Otrzymał pełną listę, ale nazwisko jednego człowieka różniło się od podanego na tablicy: na przysłanej liście widniał „Muszyński”, a na cmentarnym kamieniu — „Musiałski”. Szczegół godny wzruszenia ramion, ale nie dla Jędruszczaka. Wystał kilkanaście listów do najbliższych instancji, które mogłyby i powinny, jego zdaniem, zająć się tą sprawą. Ale się nie zajęły. W ubiegłym roku napisał do Ministerstwa Administracji i Gospodarki Komunalnej, po czym otrzymał list od naczelnika Parczewa, który obiecał, że „Nową płytę pamiątkową wykona się wówczas umieszczając na niej większą ilość nazwisk niż obecnie, jeżeli będziemy mieli całkowitą pewność co do właściwego brzmienia tych nazwisk, których brzmienia już nikt nie będzie mógł podważyć”. Przrzekł także poprawić datę.

„Szanowny Panie! List od pana otrzymałem. Bardzo dziękuję za pamięć i troskę, którą Pan wyraża. Jestem żoną Surzyna Jana, pseudonim „Teodor”, urodzonego w Popowie. Matzonek mój był złapany w akcji przez Niemców w sierpniu 1943 roku i wywieziony na Zamek do Lublina. W marcu 1944 roku wezwali mnie do urzędu gminy w Anopolu i odczytali mi zawiadomienie, że Surzyn Jan zmarł w Parczewie 17 stycznia 1944 roku. To tylko tyle wiem. Aktu żadnego nie mam. Bardzo proszę, niech mi Pan opíše jaką śmiercią zginął i wszystko co Pan wie o nim. Surzyn Maria.”

Kiedy spotkałem się z tą kobietą — opowiada Jędruszcak — okazało się, że właśnie jej męża zapamiętałem; miał wówczas granatowy garnitur w paski, tenis to się nazywa.

Mieczysław Jędruszcak przywykł do tego, że wzbudza w urzędnikach odruch zniecierpliwienia. Dobrze, że urzędnica etykieta nie pozwala na jawne pukanie się w czoło. Na zarzuty, że w swych enuncjacjach się myli, ma zawsze gotową odpowiedź: „Ten się nie myli, co nie nie robi”. Ale nie można uogólniać: z Urzędu w Białej Podlaskiej przyszło, na przykład, pismo wyjaśniające, opatrzone dopiskiem: „Dziękuję za zwróconą uwagę na występujące nieścisłości. Dyrektor Wydziału, inżynier Janusz Niemczuk”.

W WARSZAWSKIM MIESZKANIU Mieczysława Jędruszczaka jest duża szafa przepelniona dokumentami, m.in. świadectwami martyrologii ludności byłego powiatu Parczew i udokumentowanymi wykazami wywiezionych czy pomordowanych mieszkańców poszczególnych wsi. Okazuje się, że nawet w tragicznej historii obowiązuje prawa biurokratycznej bezduszności. Ryje się w kamieniu, ku wiecznej pamięci, liczbę stu rozstrzelanych w dniu... Nieważny czy nie znany okazuje się fakt, że trzech spośród nich zamordowano w innych okolicznościach i w innym czasie. Przykłady, opatrzone potężnym „materiałem prostującym”, wypychają teczki w szafie Jędruszczaka, od czasu do czasu ujawniane w postaci listów do redakcji bądź okolicznościowych artykułów w tygodniku „Za Wolność i Lud”. Dlaczego warszawski grawer w 1958 r. zjawiał się w powiatowej komendzie MO w Parczewie, by uprzedzić, że będzie się kręcił po okolicy i wy-



Relację ze swego święta „Gazeta Współczesna” zatytułowała: „Trzymajmy się kupą — kupi nikt nie ruszy!” Była kupa śmiechu. Z przewagą kupy.

Firmowy sklep Centrali Materiałów Budowlanych przy ul. Świerczewskiego w Łomży czynny jest do godziny szesnastej trzydziestej. Sklep sprzedaje w dużej mierze towary, których nie da się przewieźć autobusem, więc należy najpierw sprawdzić, czy to, co chcemy nabyć, jest, zakupić i wrócić do centrum po jakiś środek transportu, czyli stracić sporo czasu, w dzisiejszej sytuacji — z konieczności urwanego z pracy. „Przejeżdżamy naszej Polski domek cały...”

Łomża jest bodaj najgorzej oznakowanym miastem w Polsce: w centrum, na głównej trasie przelotowej (Warszawa—Augustów), tablice kierunkowe wskazują jedynie kierunek Warszawy przez Ostrołękę i Siedlce przez Ostrow Mazowiecki. Turysta, który pierwszy raz zjawia się w mieście, nie będzie wiedział natomiast, jak dojechać do Elku, Ostrołęki, Siedlec przez Zambrów (krótsza trasa). „Gołych” skrzyżowań i rozwidleń, które niepotrzebnie denerwują „obcoziemców”, jest zresztą większość. Słowem: goło, ale niewesoło.

W Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego w Łomży nacelną troską — jak podejrzewaliśmy od dawna — jest pracownik. Oprócz kremów do rąk niektórzy otrzymali też „Krem na noc dla cery szczególnie wrażliwej”. Chodzi o to, by pracujący na II zmianę nie dostali uczulenia na pracę?

Od paru już lat nieodpowiedzialni reformiści próbują nam wbić do głowy, że powinniśmy się w reformowaniu posunąć przynajmniej tak daleko, jak Węgrzy. W dodatku ze zjadliwym komentarzem: u nich dobrobyt, u nas — byt. Tymczasem, jak podały źródła dobrze poinformowane, oni mają 134 nosicieli wirusa AIDS, my — czterech mniej. Dialektyka nierychliwa, ale sprawiedliwa!

W Łomży, w dniu kontroli IRCH-y, na dwadzieścia dziewięć autobusów wyruszających w trasę — dziewięć odjechało z co najmniej półgodzinnym opóźnieniem, a pięć w ogóle odwołano. W wyjaśnieniach tym razem może nawet wystąpić brak braków.

Nagrodę 500 złotych za najlepszy sygnał tygodnia „To się nadaje do „Spiećcia” otrzymuje autor informacji o oznakowaniu Łomży.



pytywał ludzi o wojenne lata? Dlaczego przeznaczył na to wszystkie urlopy, swój wolny czas i sporo prywatnych pieniędzy?

Mieczysław Jędruszcak urodził się w 1921 roku, więc w 1939 miał 18 lat, za sobą pięć lat harcerstwa, dwa — przysposobienia wojskowego i roczny harcerski kurs łączności. Został skierowany do służby na pocztę w rodzinnym Rembertowie. Pokochał mapy i broń, przy czym — jak mówi dzisiaj — z miłości do broni się wyleczył. Dzięki brzydkiemu nawykowi podsłuchiwania rozmów telefonicznych zdemaskował kilkunastu dywersantów.

W Rembertowie mieszkała wówczas liczna kolonia niemiecka; było tam też Centrum Wyszkożenia Piechoty, Fabryka Amunicji „Pocisk” i parę innych niewrażliwych obiektów. Kiedy odeszło wojsko i zanim jeszcze przyszli Niemcy, udało się grupie harcerzy wynieść z magazynów mapy sztabowe całej Polski, trochę granatów i amunicji oraz sprawny kbks. 11 listopada harcerze, których w roku 1931 komendant Szarych Szeregów, Stanisław Broniewski („Stefan Orsza”), nazwie „najdojrzalszym owocem Niepodległości”, ubrani w harcerskie mundurki, udali się na mszę do kościoła. Wracając przejściem podziemnym pod rembertowską stacją Jędruszcak napotkał wzrok stojącego w rozkroku na schodach niemieckiego żandarma. Rzadko kto

stwierdził, że można by o tym nakręcić piękny film. Jędruszcak dał mu swój brulion z notatkami, ale po kilku miesiącach pisarz zawiadomił go, że nie otrzymał zgody na realizację.

MIESZKAJĄC I PRACUJĄC w Parzewie Jędruszcakowie nie mieli nigdy stałego zameldowania. Co pewien czas powtarzały się aresztowania i wywózki na roboty do Niemiec. „Zabierano ojców, synów i braci. Nikt z pokrzywdzonych rodzin nie doniósł na nas, trzech w końcu młodych, silnych i zdolnych do pracy. Nikomu nie przyszło do głowy wykupować się naszym kosztem.” To zobowiązało. W 1944 r. był już zastępcą komendanta Rejonu III Armii Krajowej. Wyszukiwał i dokumentował działalność konfidentów i zdrajców, przeznaczonych do likwidacji. W tej pracy nie mógł pozwolić sobie na jakiegokolwiek nieścisłości. „Wolałem przepuścić dziesięciu, jeśli bym miał skrzywdzić niewinnego”. Ta skrupulatność wobec szczegółów z dokładnością do jednej litery w nazwisku pozostała mu z tamtych czasów.

Oprócz skrupulatności dopingująco wpływa na Jędruszcaka cholera, która go bierze podczas lektury fałszywych tekstów, jak ten w trzynastotomowej „Encyklopedii”. Przy czym niewielką pociechą może być fakt, iż w czterotomowych edycjach cytowanego zdania już nie ma.



z takich pojedynków spojrzeń wychodził cało. Jędruszcak miał szczęście, podobnie jak 26 grudnia, kiedy odwiedzili koleżankę-harcerkę w Wawrze. Kierowany przezcuciem — przerwał zdecydowanie młodzieńcze zabawy, a gdy wyszli, dom odwiedzili Niemcy i rozstrzelali ojczyzna oraz narzeczonego koleżanki.

Jędruszcakowi nie dane było jednak należeć do Szarych Szeregów, choć gdyby pozostał w Rembertowie, przed czy później trafiłby do harcerskiego podziemia. Był chyba zbyt znany, czego dowodem — ostentacyjna uprzejmość miejscowych Niemców i Volksdeutsche. Na początku 1940 r., wraz z ojcem i młodszym bratem, wyjechał w rodzinne strony ojca, w Lubelskie. Pierw przemieszkali trzy miesiące pod Lubartowem, by ostatecznie na przedmieściach Parzewa. Wtedy to zapamiętał widok jeńców polskich żołnierzy-Zydów, pędzonych w największe mrozy z Lublina do Białej Podlaskiej.

Historia tragicznych pięciu dni, podczas których zabrano z Lublina 627 ludzi, a na miejsce dotarło 287, została zdokumentowana przez Jędruszcaka już po wojnie. Artykuł odrzuciło w 1973 r. kilka pism, aż znalazł miejsce w „Folk Sztymie”. Dziś pan Mieczysław nie chce pamiętać redakcji i ludzi, którzy odprawili go wówczas z kwitkiem. Jedynie pisarz Witold Zalewski, usłyszawszy o „Marszu śmierci”,

Szczególna cholera wzięła Mieczysława Jędruszcaka, gdy przeczytał, wydane na początku lat siedemdziesiątych nakładem Wiedzy Powszechnej, „Lasy Parzewskie” Wojciecha Sulewskiego. „Takiej porcji kłamstw i przeinaczeń, a przy tym ordynarnych fałszerstw, nigdy przedtem nie widziałem!” Energia, z jaką wziął się do odkłamywania, niebawem przyniosła efekty, choć już po fakcie, a trzeba dodać, że Jędruszcak podważył również autentyczność zdjęć zamieszczonych w pierwszym wydaniu pozycji.

„Wydawnictwo «Wiedza Powszechna» otrzymało odpis listu skierowanego przez Pana do redakcji «Nowych Drog» zawierającego krytyczne uwagi o książce Wojciecha Sulewskiego pt. «Lasy Parzewskie». W liście tym skreślonym po dokładnym zapoznaniu się z publikacją W. Sulewskiego wskazuje Pan na dostrzeżone w niej błędy oraz przeinaczenia faktów. Wydawnictwo «Wiedza Powszechna» uznaje to wysunięte przez Pana zarzuty za bardzo istotne, w związku z czym podjęto decyzję o niewznawianiu tej książki. Dyrektor — Redaktor Naczelny.”

W książce Sulewskiego znalazł Jędruszcak obszerne relacje dotyczące działalności bojowej — w ramach PPR-u, AL-u i GL-u — w rejonie Parzewa człowieka, którego znał podczas okupacji jako NSZ-owską wtyczkę w Armii Kra-

jowej. Ow człowiek jest właśnie autorem fałszywych zdjęć i sfigowanych zdarzeń. Dla uwiarygodnienia siebie — innego „bohatera” uczynił dowódcą specjalnej grupy dywersji kolejowej na terenie całego województwa lubelskiego. Mniejsza zresztą, kto wpadł na ten pomysł, ważne, że „bohaterowi” rola taka bardzo przypadła do gustu. Do śmierci nie mógł się pogodzić z utratą dowództwa grupy stworzonej po wojnie i dowodził tego pismem, czym zawiódł kilku naiwnych historyków. Niestety, w świetle benedyktyńskich ustaleń Jędruszcaka — pozostanie kłamcą. Autor fałszywych zdjęć żyje, mieszka w Warszawie i nadal jest aktywny. Po radiowej audycji, w której Jędruszcak wspólnie z generałami Czyżewskim i Wyderkowskim obnażali jego fałszerstwa, wystosował oskarżenie do Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Warszawie. Bez głębszych wyjaśnień kategorycznie domagał się pociągnięcia do odpowiedzialności trzech oszczerców, a żeby nie fatygować sędziów zbędnym namysłem, od razu żądał dwóch lat więzienia dla Jędruszcaka i po pół roku dla generałów. Sprawa została jednak zdjęta z wokandy i przekazana do rozstrzygnięcia Sądowi Koleżeńskiemu ZBoWiD-u, który podjął decyzję o wykluczeniu tego człowieka z kombatanckiej organizacji.

Znajomi, a nawet najbliższa rodzina, dziwili się zawziętości Jędruszcaka. „Daj mu spokój! — mówili mi. — Czego ty właściwie od niego chcesz?” Odpowiadał, że to tamten przecież pluje wszystkim w twarz oraz na groby tych, którzy zostali pomordowani.

„LASY PARCZEWSKIE”, odbici pod Celestynowem, odnalezienie grobu Czarnej Marysi z 27 Wolińskiej Dywizji AK (spoczywa na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Kaziemierzu nad Wisłą), powieszeni na Lesznie, egzekucja w Parzewie, odnalezienie nazwiska „Cienia”, oficera 27 Dywizji, spoczywającego na parczewskim cmentarzu, czy wreszcie uporczywa walka z urzędami i instytucjami o ocalenie szczątków muru warszawskiego getta — to jeszcze nie wszystkie sprawy, którymi zajmował się czy zajmuje Mieczysław Jędruszcak. Z maniackim uporem domaga się, by państwowe archiwa wycofały ze zbiorów fałszywe relacje i oświadczenia albo przynajmniej opatrywały dopiskiem „nieprawda”. Kiedyś „wyszł z nerw” i powiedział dyrektorowi jednego z archiwów, że jest kierownikiem składnicy makułatury. Ostatnio szuka kolegów z przedwojennego kursu łączności. Dwa razy nosił do redakcji „Stolicy” stosowny anonis.

Prostuje informacje prasowe, ustala prawidłową pisownię nazwisk, drażni swą pedanterią i namolnością urzędników, budzi ekscytację i zainteresowanie niejasną motywacją. Po co to robi? Co z tego ma? Chwilę się zastanawia, po czym oznajmia: — Tablicę!

Tak jest. Emerytowany grawer od czasu do czasu popełniał eleganckie, drewniano-metalowe tablice pamiątkowe, które następnie ofiarował tym, o których mniemał, że powinni być zainteresowani. Jedną z tych tablic znajduje się w kościele w Uścimowie, druga na cmentarzu w Parzewie, na warszawskich Powązkach trzecia, czwarta w Radzynie Podlaskiej w kościele, kolejne trzy, upamiętniające pomordowanych mieszkańców wsi Białka, Rudka Starościana i Rudne, jest w Izbie Pamięci w Parzewie. Podobna do nich, wykonana w hołdzie poległym i pomordowanym mieszkańcom Parzewa, leży za szafą w mieszkaniu Jędruszcaka.

Wykonał ją w 1979 roku, kiedy to Parzew został odznaczony Krzyżem Grunwaldu II klasy. Niestety, prezent nie został przyjęty, bowiem nie „była na sesji i nazwiska podane na niej nie są zatwierdzone czy zweryfikowane”. Próbowal wytłumaczyć, że pojedyncze nazwisko łatwo można usunąć i zostawił też wolne miejsce, gdyby kogoś trzeba było dopisać. Nie sforował muru biurokracji. Zabrał tablicę do Warszawy. Jakiś czas potem zaproponowano mu jednak przyjęcie jej. Odmówił. Zdziwili się: „Po co ci w mieszkaniu tablica? Co będziesz z nią robił?”

— Zostawię sobie jako symbol mojej głupoty! — odpowiedziałem.

Fot. prywatna bohatera

IDZIE WIOSNA OD WSCHODU (1)

Związek Radziecki: przemiany w strukturach, w świadomości społecznej. Jak widzą rzeczywistość z nowego punktu widzenia uczeni, pisarze? Dla naszych Czytelników wybraliśmy obszernie fragmenty wypowiedzi Czingiz Aйтmatowa, znanego także i w Polsce autora powieści „Dżamila“, „Żegnaj Gulsary“, „Biały statek“, „Matczyne pole“ oraz fragmenty rozmowy z akademikiem Aganbegianem.

cena przejrzenia na oczy

CZINGIZ AJTMATOW: — Wre-
czcie przejrzałem, przetrząsałem o-
czy i, spojrzawszy wstecz, zobaczy-
łem zięjącą pustkę. Strach pomy-
śleć, co by z nami było, gdyby wszy-
stko zostało jak dawniej, kiedy dzia-
łanie zastępowało rytualne pustoszo-
wie. Do niedawna wiele naszych wy-
obrażeń o życiu było wyrażanych
przy pomocy stereotypowych, nud-
nych pokrzykiwań o najbardziej
przodującym społeczeństwie na świe-
cie, o najbardziej wykształconym
czytelniku, o niezmiennie awangar-
dowej istocie wszystkiego, co było
związane z pojęciem „nasze, radziec-
kie“. (...) Staraliśmy się nie zauwa-
żać, że otaczający nas świat wyprze-
dził nas w wielu dziedzinach. Nasz
cel — komunizm — odsuwał się
jeszcze dalej. Mało tego, wypaczo-
ne zostały liczne postulaty socjaliz-
mu.

REDAKCJA: — Czy to prawda, iż Pań-
ski ojciec i jego dwaj bracia, wiejscy
aktywiści, byli represjonowani w 1937
roku?

— Tak, to prawda. Minęło już
pół wieku, ale ciężko o tym wspo-
minąć. Nie wspominam o tym nig-
dy publicznie i można uważać, że
wypowiadam się na ten temat po
raz pierwszy. Gdyby jednak tego
faktu nie było, to i tak z całych
sił występowałbym przeciwko kul-
towi jednostki. Dopiero teraz spo-
łeczeństwo zaczęło naprawdę zrzu-
cać z siebie ciężkie brzemie tam-
tej, mrocznej epoki. I nie przycho-
dzi nam to wcale łatwo. Przecież
i obecnie jest wielu zwolenników
przeszłości. Nie chcą oni niczego
dostrzec i nie życzą sobie żadnych
zmian. Dlatego też, jeżeli zdołamy
raz na zawsze uwolnić się od kom-
pleksów przeszłości, to będzie
to wielkie osiągnięcie przebudowy, o-
siągnięcie polityczne i duchowe.

— Cały czas myślę o paradoksie,
iż tworząc socjalizm, dając pierw-
zeństwo wszystkiemu, co idzie od
kolektywu i kolektywizmu, straci-
liśmy wiele z tego, co dotyczy in-
dywidualności, osobowości, jeśli moż-
na tak powiedzieć, tożsamości czło-
wieka. I jakże odbija się dziś ta
najważniejsza strata!

— Nowe dzielnice mieszkaniowe,
które widzimy w Moskwie, to kwia-
tuszkę, wszystko, co najlepsze w na-
szym współczesnym budownictwie.
Ale pojedźcie do miasta prowincjo-
nalnego, do obwodowego. Już z o-
kien wagonu można zaobserwować
i zdumieć się szpetotą w budowie
mieszkań. A przecież mieszkanie to
nasze życie. Nie się nie dzieje, nic
się nie zmienia.

Drugi problem, to transport. Zacz-
nę od transportu — o największym
zasięgu — od lotnictwa. Na przy-
kład lotnisko „Domodedowo“ przy-
pomina w locie chaotyczną ewaku-
ację uchodźców przed klęską żywo-
łową bądź wojną.

Jeszcze bardziej martwi mnie to,
że park samolotowy starzeje się w
oczach i jest słabo odnawiany.

Park samolotowy coraz bardziej
schodzi na psy. Nawet zewnętrznie.
Mówię o tym jako pasażer. Muchy
i karaluchy rozmnożyły się w sa-
molotach, jak w mieszkaniach kwa-
terunkowych. Pewnego razu zawo-
łałem stewardessę: „Dlaczego nie
walczycie z karaluchami, proszę
spojrzeć, jak lażą dookoła“. „Czego
pan od nas chce — odpowiedziała
— nie mamy kiedy przeprowadzić
dezynfekcji samolotu, ponieważ nieu-
stannie znajduje się w locie. Zmie-
niają się załogi, zmieniają się pa-
sażerowie, a maszyny latają ciągle
te same.“ W ten sposób zrodziło się
we mnie podejrzenie, czy w takich
warunkach można przestrzegać nie-
zbędnych warunków bezpieczeństwa?

I kiedy mówimy o tym, że w
produkcji kapitalistycznej najważ-
niejszy jest zysk, pogoń za zyskiem,
to prawdę mówiąc, w tym wypad-
ku nie widzę różnicy — u nich po-
goń za zyskiem, a u nas pogoń za
planem, to znaczy za tymże zyskiem
za wszelką cenę. [...]

— Teraz o transporcie miejskim.
Jego stan jest poza wszelką kry-
tyką. Wszystko jest przeładowane
— metro, autobusy, trolejbusy, tram-
waje. I nie tylko w Moskwie, ale
wszędzie i zawsze. Potok pasażerów
rośnie, a środki przewozu stoją w
miejscu. Środki transportu oddzia-
ływają przecież na stosunek czło-
wieka do pracy, na jego nastrój i
na stosunek do innych ludzi.

A nasze drogi? Jeśli porównać je
z drogami istniejącymi w innych
częściach świata, to nie są to wca-
le drogi. I tu również bezmiar ro-
boty.



Nauka w szkole znajduje się w
dużym stopniu w rozpaczliwym sta-
nie, opieka lekarska tak zła, że
gorsza być nie może, handel na po-
ziomie epoki kamiennej...

Ja nie żrę. Rozmyślam głośno,
bo chcę poprawy. Gdzie wyjście?

Chwała Bogu, jak powiadają, że
nie ma wojny. Dlaczego więc z ro-
ku na rok pozostają nierozwiązane,
a co więcej pogłębiają się, liczne
problemy życiowe, państwowe i spo-
łeczne? Z pewnością zbyt mało o
nich myślimy. A jeśli nawet myśli-
my i mówimy o nich, to nie zawsze
skutecznie. Dlaczego? Wewnątrz każ-
dego z nas siedzi dogmatyk, każdy
z nas odniósł w jakimś stopniu „kon-
tuzję“ w wyniku epoki stalinizmu
— został oduczony myśleć i działać
bez odgórnego pozwolenia.

człowiek i gospodarka

AKADEMIK AGANBEGIAN: — Naj-
większym naszym nieszczęściem jest
dyktat producenta wobec użytkow-
nika. Bierz, co dają, bo w przeciwnym
wypadku nie dostaniesz nic.

Już pewnie 20, 25 lat fabryka sa-
mochodów w Gorkim produkuje
ciężarówkę ze słabym silnikiem, któ-
ry jednakże spala na 100 km ok.
25 litrów benzyny. Ciągnać za sobą
przyczepy ciężarówka nie jest
w stanie, co obniża jej wydajność.
Ma ona bardzo dużo punktów sma-
rowniczych, co wymaga dodatkowej
obsługi. Przebieg do remontu kapi-
talnego zaledwie 250 000 km, czyli
bardzo mało, jak na dzisiejsze cza-
sy.

[...] Gdyby ktoś wylał do rowu
przydrożnego cysternę benzyny, to
człowieka takiego postawiono by
przed sądem, ukarano i zmuszono
do zwrotu wartości zmarnowanego
paliwa. W tym samym czasie po
kraju jeżdżą tysiące gorkowskich
ciężarówek starego typu i spalają
co roku niepotrzebnie setki tysięcy
ton drogiego paliwa, które można
by zaoszczędzić, gdybyśmy wcześniej
przeszli na nową ciężarówkę dies-
lowską.

Jeśli spojrzeć ogólnie w skali ca-
łej gospodarki, to samochód jest
per saldo wysoko nakładowy i
przynosi straty. Niemniej jednak
jest on produkowany nadal i przy-
nosi fabryce niezłe zyski. Interesy
fabryki i interesy branży, dzięki
działającemu mechanizmowi gospo-
darczemu, wzięły górę nad intere-
sami całej gospodarki narodowej.

— Ekonomia to taka siła, która
może zdusić, sprowadzić do zera
każdą sprawę, jeśli u jej podstaw
leżą niekompetentne i niekonse-
kwentne decyzje. Nie wdając się w
szczegółową analizę podejmowanych
decyzji, zatrzymajmy się tylko na
ich efekcie finalnym. W ósmej pię-
ciolatce dochód narodowy kraju
wzrósł o 41 proc., w dziewiątej o
28 proc., w dziesiątej o 21, jedena-
stej tylko o 16,5 procenta. Inaczej
mówiąc rozwijaliśmy się coraz wol-
niej i wolniej.

— Nie jest tajemnicą, iż problemów,
związanych ze wzrostem dobrobytu i
wszechstronnego rozwoju wszystkich
członków naszego społeczeństwa, mamy
nie mało. Które z nich, Pana zdaniem,
są najważniejsze i wymagają rozwiąza-
nia w pierwszej kolejności?

— Nierozwiązany pozostaje prob-
lem żywności. Jak na rozwinięty
kraj, którym jesteśmy, jak na o-
statnią ćwiartkę dwudziestego wie-
ku, odżywiamy się źle. Chronicznie
brakuje białek i tłuszczów zwierzę-
cych. Rzecz nawet nie w ilości, nie
w tym, że chcemy mieć 80 kg mię-
sa na jednego mieszkańca, a spo-
żywamy na razie tylko 61 kg. Nie
w tym rzecz. Bowiem w odżywianiu
ważna jest jakość i struktura spo-
żywanych produktów. Jemy głównie
mięso mrożone, które utraciło poło-
wę swej wartości odżywczej. Jemy
mrożone ryby, z których również
niewiele pożytku.

Drugim zadaniem w zakresie od-
żywiania są warzywa i owoce. Je-
steśmy tutaj najbardziej opóźnieni,
trzykrotnie poniżej normy.

Następne, nie mniej, a być mo-
że nawet bardziej złożone zadanie,
to zaspokojenie potrzeb ludności w
zakresie wyrobów przemysłowych
powszechnego użytku i usług. Nie
wskaźniki ilościowe są najważniej-
sze, a jakości.

W 1985 r. wyprodukowaliśmy 788
milionów par obuwia ze skóry, a
w USA tylko 300 milionów. Jeśli
przeliczyć to na jednego mieszkań-
ca, to u nas przypadło na niego
2,8 pary, a w USA zaledwie 1,3 pa-
ry. U nich w sklepach jest pełno
obuwia, odpowiadającego różnym
gustom i stosunkowo niedrogiego.
U nas formalnie też pełno, półki się
uginają. Jednakże kupić, brutalnie
mówiąc, nie ma co. Obuwie to le-
ży, ponieważ jest niewygodne, nie-
modne i brzydkie. Jeżeli się je już
kupi, to tylko dlatego, że nie
innego nie ma. A nawet jeśli się
kupi, to nie zawsze się nosi.

Kiedy natomiast, żeby „zrealizo-
wać plan“ pod koniec miesiąca,
„wyrzucają“ w sklepie cokolwiek z
importu, to nie sposób docisnąć się
do lady. Otwarcie mówiąc, nasz
przemysł obuwniczy w dużej mie-
rze po prostu przerabia skórę i do-
datki.

— [...] W samej tylko Moskwie
ponad 2000 razy w roku następuje
samozapalenie telewizorów koloro-
wych. Wraz z nimi płoną domy. O-
statni pożar w hotelu „Rossija“ na-
stał z tej właśnie przyczyny. Prze-
cież to przestępstwo — opracować
i produkować taki telewizor, który
zwiększa niebezpieczeństwo pow-
stania pożaru.

A nasze „Wołgi“? To już w ogóle
wyższa filozofia, żeby tak zmoder-
nizować samochód i wprowadzić no-
wy model, że wiele krajów zabro-
niło jego wwozu. Nie odpowiada on
żadnym wymogom bezpieczeństwa
stawianym współczesnemu samocho-
dowi. Równocześnie nie odpowiada
on wymaganiom ekologicznym. Na-
sza „Wołga“ ma wściekle wysokie
zużycie benzyny i oleju. Charakte-
ryzuje się niskim komfortem. Uste-
puje ona samochodom zagranicznym
nawet niskiej klasy.

— Co mówią producenci na ten te-
mat? Przecież Pan na pewno rozmawiał
z nimi na ten temat?

— Wiele razy. Oni niczego nie
rozumieją, albo robią minę, że ni-
czego nie rozumieją. Mówią, że za
granicą po prostu się czepiają ich
samochodu...

Jakość jest naszą najpoważniejszą
chorobą. Proszę wziąć domy zbu-
dowane przed wojną lub bezpośrednio
po niej. Przy ich wznoszeniu
nie było pewnie zbyt wielkiej wy-
dajności pracy, same one nie odzna-
czały się szczególnym komfortem
ani wyszukaniem loggiami, obszer-
nymi hallami i różnymi innymi. Ale
były to ciepłe domy. Czy można so-
bie wyobrazić, że w starym domu
przemarzał jakiś tam szew, żeby roz-
padała się założona niedawno insta-
lacja sanitarna, żeby ciekła woda,
przeciekały baterie, żeby rury były
zespawane byle jak? Obecnie jest
to zjawisko masowe. Pierwszą tro-
ską lokatora, który otrzymał klucze
od nowego mieszkania, to zrobić je-
go remont.

— Przemysł lekki i handel zosta-
ły przedstawione na nowy ekonomicz-
ny system gospodarowania. Jego
sens polega na tym, że handel nie
jest zainteresowany zamawianiem
kiepskich rzeczy i posiadaniem za-
pasów, bowiem jego pracownicy bę-
dą płacić za to z własnej kieszeni.
Zmusza to handel do zamawiania
tylko takich towarów, które cieszą
się popytem. Znaczy to, że również
przemysł jest z kolei zmuszony pra-
cować wyłącznie na zamówienie
handlu i zmieniać asortyment wy-
robów w zależności od sytuacji.

Nie udało się w sposób należyty
powiązać dochodów kolektywów
pracowniczych z rezultatami final-
nymi pracy. Ogólnie jednak biorąc,
jesteśmy tu na dobrej drodze. Za-
pasy zmniejszają się, a asortyment
zmienia się bardziej intensywnie.

— Obecnie powstała u nas ogrom-
na luka między mającym pokrycie
pieniężnym popytem, a jego pokry-
ciem materialnym; sięga ona dzie-
siątków miliardów rubli rocznie.
Część pieniędzy odkłada się na
książeczki oszczędnościowe (suma ta
osiągnęła 250 miliardów rubli), a
część do pończochy. Luka ta jest
bardzo niebezpieczna.

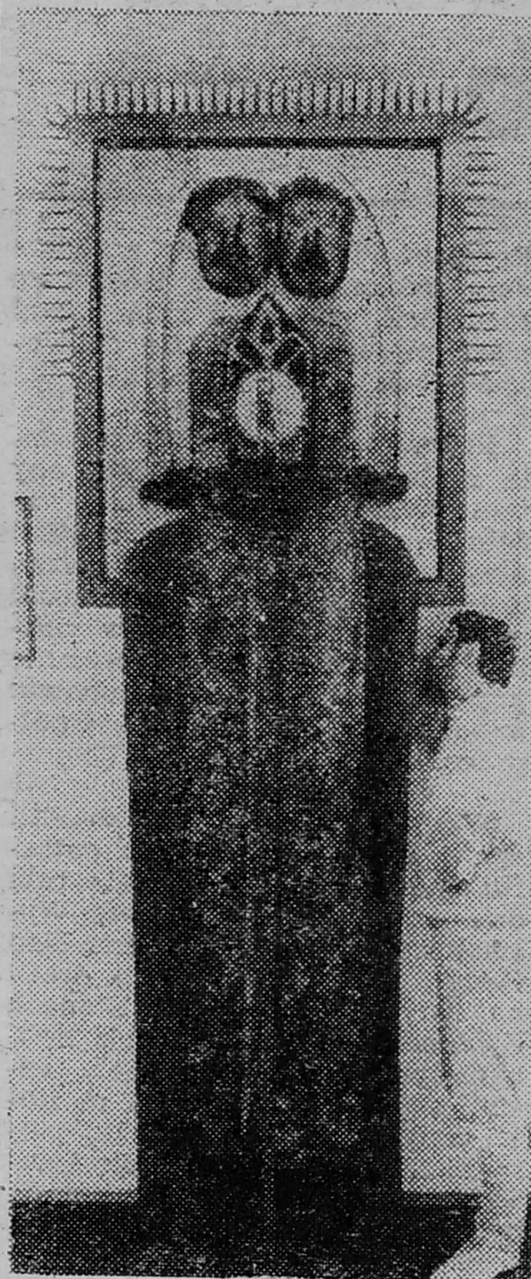
Zaczyna się bowiem kształtować
podejście psychologiczne, iż nie tak
ważne jest wynagrodzenie, które w
wielu przypadkach nie stanowi już
miernika jakości i ilości pracy, waż-
ne jest natomiast przyłączenie się
do jakiegoś skrawka socjalistycznej
własności, gdzie można urwać coś
dla siebie.

(„Ogoniok“, lipiec br.)



Nareszcie można zatkać gęby najgłębszym malkontentom, którzy nudzą niezmennie, że w Łomży nie albo prawie nie ciekawego się nie dzieje. Tegoroczne święto naszego miasta — rocznica jego wyzwolenia — oprawione zostało w taką liczbę różnorodnych imprez, że niemożliwe było choćby obejrzenie, nie mówię o udziale, ich wszystkich. Jarmark Nadnarwiański, zdominowany przez komiwojażerski, wielostragany dom towarowy staroci, odpustowego rękodzieła i rozrywek, Święto „Gazety Współczesnej”, IV Dni Pisarzy Stronnictwa Demokratycznego oraz Święto Muzyki i Tańca. Dwa, jeśli nie trzy, afisze zapelniały program szczegółowy, przypominały się czasy Święta Kultury Staropolskiej, ale o tym na koniec.

Po raz pierwszy w Łomży odbyło się spotkanie Klubu Pisarzy SD, warto więc chyba szczegółowiej przedstawić tę imprezę. Klub istnieje od 1978 roku i skupia 35 członków z całego kraju, nie tylko członków Związku Literatów Polskich. Wśród poprzedników, których idee kontynuuje, wymieniamy: Emila Zegadłowicza, Gustawa Morcinka, Halinę Krahelską, Januarego Grzędzińskiego i Maksymiliana Necla. W 1981 roku ukazała się „Epoka Literacka”, wydawnictwo zbiorowe utworów członków Klubu, którego drugi numer, jak to określił prezes Zbigniew Wróblewski, od lat czeka na druk. Miało to więc być czasopismo, ale z trudnościami nadchodzi i ta „Epoka literacka”, choć są tacy, którzy twierdzą, że żadnej epoki literackiej nie ma i nie będzie w naszym piśmiennictwie. Dowodem na to zdawały się być obrady klubu i zaproszonych gości na temat „Literatura a demokracja”, obrady, w trakcie których wygłoszono jedynie referaty. A to: „Labirynty demokracji” — Jan Kulka, „Demokratyzm literatury” — Cezary Leżeński i „Związki między demokracją a literaturą” — Janusz Termer. Wokowatość a właściwie niekoherentność tematu głównego sprawiła, że referenci omijali go, jak tylko się dało. A gdy się zapędzili, wówczas próbowali prowokować, jak Jan Kulka, który stwierdził, że opis anatomii zdrady mógłby być lepszym elementem edukacji młodzieży niż chwalebne podnoszenie na duchu; czy też epatować w stylu Cezarego Leżeńskiego: „demokracja to umiejętność myślenia, myśleć najlepiej można się nauczyć przy czytaniu literatury,



Z OKAZJI

więc literatura jest demokracją”. Szkolny ten sylogizm, nawet traktowany z przymrużeniem oka, do czego zdawał się skłaniać autor, „zasuwa nastrzeżenie”, jak sam się przejęczył w pewnej chwili. Janusz Termer, jakby speszony hasłem, dotknął zaledwie dwóch aspektów kłopotliwego tematu, formułując dość oczywistą prawdę, że wysoki poziom sztuki jest, u podstaw społecznych, gwarantowany przez istnienie demokratycznych swobód twórczych oraz — słowami Norwida (nadużywanego przez referentów), przytaczając z jego wykładów o Słowackim tezę, iż prawdziwie wysoka sztuka nie może być powszechnie odbierana.

Tyle w części intelektualnej, w artystycznej zaś wystąpił Zbigniew Zapisiewicz we fragmentach „Pana Cogito” Zbigniewa Herberta. Ironiczna poezja Herberta straciła po latach ton myślowej prowokacji i, jak powiedział Janusz Termer, „stała się zbiorem wierszyków dla pilnych licealistów z klasycznego gimnazjum”. Nie straciła za to nic, w interpretacji Zapisiewicza, z bo-

gactwa emocjonalnego. Drugim zdarzeniem był wernisaż w BWA. Wystawa nosi tytuł „Ślad” i powstała z pomysłu Jana Kulki. „Wszyscy autorzy, których nazwiska wymieniałem — napisał w katalogu wystawy — zostawili swój ślad w mojej wrażliwości. Zdecydowali... o takim a nie innym sposobie pojmowania poetyckiej rzeczywistości”. Jest tych autorów ponad dwudziestu, w tym po raz pierwszy w Łomży prace Władysława Hasiora i Franciszka Starowieyskiego, a zaletą wystawy jest właśnie osobista, intymna przypadkowość doboru. Otwarcie okraślił Wojciech Siemion, czytając kilka wierszy komisarza wystawy, w swój niepowtarzalny, siemionowo-naturalistyczny, zdroworozsądkowy sposób. W każdym razie Siemion był i było go słychać i widać (w którym to celu wlaź na krzesło nawet).

W części okazjonalnej natomiast odbyły się urodziny Jana Kulki. Wielu ludzi sądzi, że to z tej okazji właśnie zjechali do Łomży koledzy po klubie jubilat, Zapisiewicz i Siemion, i wysokie władze Stronnictwa Demokratycznego. Podobno, choć jedno mogło odbyć się niezależnie od drugiego i trzeciego. Dlaczego jednak nie miałyby odbyć się razem? Może złośliwie, ale nie sposób inaczej, skoro tonu tego nie ustrzegł się nawet przyjaciel jubilat, Cezary Leżeński, mówiąc przy uroczystej kolacji: „Pięćdziesiąt lat to nie wiek na jubileusz, szczególnie że Janek nie ma z pryka, którego się jubilejnie tyka (to z wierszyka Boya), ale trzeba stwierdzić z uznaniem, że jeśli pierwszy jubileusz był skromniutki, w salce Stronnictwa, drugi liczniejszy w skansenie w Nowogrodzie, a ten już w „Polonezie”, to warto oczekiwać następnego”. No właśnie. Czy dlatego warto?

Warto dla „Śladu”, dla Zapisiewicza, dla wysłuchania wierszy Jana Kulki „Ten” w wykonaniu Ireny Jun, ale bez narzucającej się megalomańskiej domieszki prywatności, bez okazji do podejrzeń, że wszystko to wymyślone jest po to, żeby błyskać odbitym światłem.

Wracam do spraw ogólnych. Wrześniowa dekada ożywienia, nawet z tak bogatym programem, zaledwie przypomina to, co przed laty wypełniało łomżyńskie ulice w końcu maja, czyli Święto Kultury Staropolskiej. Nie dlatego, że teraz inne czasy, ale także dlatego, że brak jeszcze temu przedsięwzięciu ogólnej koncepcji programowej, przy pełnym zaoferowaniu (do epoki przedpowiatowej chyba) plastycznym i wizualnym. Brak chyba także przekonania wśród realizatorów co do tego, czy za rok będzie znowu coś takiego, a co za tym idzie — niechęć do lepszego przygotowania się do imprezy. No, ale znów zaczęło się kręcić z większym rozmachem.

HENRYK GAŁA

POTWÓRZ

(9)

BARBARA MAROWSKA-WITKOWSKA

Można było się ochłodzić zimną wodą, ale przynosiło to tylko chwilową ulgę. I ten ciągły brak wiadomości o terminie rozprawy. Mecenasek rozkładała ręce, rodzina też — mimo rozlicznych interwencji — nie mogła się niczego dowiedzieć.

Czas dłużył się niepomniernie. Coraz trudniej było mi wyszukać jakiegoś zajęcia, tym bardziej iż po opuszczeniu więzienia przez ludzi uwolnionych amnestią, pozostałe współtowarzyszkę nie były zbyt ciekawe we wspólnym życiu. Zajął się pilnie pracą naukową. Udało mi się dostać nowy podręcznik ziemiarki i pilnie studiowałam go, robiąc konspekt. Zawsze chciałam przestudiować ziołolecznictwo, ale nigdy nie wystarczało mi czasu. Teraz miałam go w nadmiarze. Pisałam też regularnie monity i skargi do sądu o wyznaczenie terminu rozprawy. Po zakończonej już sprawie przekonałam się, że w moich aktach nie było ani jednego pisma, które regularnie wysyłałam.

Innym sposobem na odprężenie była łaźnia. Prowadzono nas do niej raz w tygodniu. Znajdowała się na dole, w tym samym pawilonie, i można było być w niej dosyć długo. Były w niej trzy prysznice, woda — u-krop. Można było porządnie się umyć — dawało to niejaki rozluźnienie. Wspominałam już o tym, iż stan higieniczno-sanitarny w owym pawilonie był bez zarzutu. Jedyne, co mnie przerażało, to szczury. Brzydzę się nimi i boję ogromnie. Niestety, stare budynki są ich ulubionym miejscem. Przechodziły przewodami kanalizacyjnymi i luftami wy-



wietrzników, które znajdowały się pod sufitem, nad muszlą klozetową. W jednej z cel wypadł szczerz właśnie tą drogą. Po tym zajściu wstawiono w luft kratki. Drogę kanalizacyjną zabezpieczaliśmy stawiając na noc na desce klozetowej miednicę z wodą. W każdym razie po zgłoszeniu światła do rana nigdy nie schodziłam ze swojego łóżka.

Czas włókł się wprost nie do zniesienia. Przestały już cieszyć mnie spotkania z adwokatem. Nie mieliśmy już nic do omawiania, zaś o terminie rozprawy wciąż nie było wiadome. Zaczęłam wątpić, czy rozprawa w ogóle kiedykolwiek się odbędzie. Wreszcie otrzymałam jej termin — miała się odbyć 8 października, a więc w 7 miesięcy po pierwszej. Podchodziłam sceptycznie do realności owego terminu. Tak długo to wszystko trwało, tyle niezrozumiałych odroczeń, tak więc i ten termin nie wydawał mi się zbyt pewny. Jednak wbrew moim przypuszczeniom rozprawa rozpoczęła się 8 października. Tym razem sala była zupełnie malutka. Szczupły też był konwój odprowadzający nas na salę. Zupełnie zmieniony był również skład sądu, zarówno przewodniczący, jak i ławnicy. Przewodniczącym sądu była bardzo młoda i bardzo ładna dziewczyna. Znowu ogarnęły mnie wątpliwości, ale rozwiązały się już na początku rozprawy. Sędzina znała sprawę doskonale, nawet najdrobniejsze jej aspekty. Niezgodności zeznań świadków z protokołami poprzedniej rozprawy wyławiała natychmiast. Widać było już od pierwszej rozprawy, że będzie prowadzić ją rzetelnie i sumiennie.

CIĄG DALSZY NA STR 12



Od pierwszego dnia rozprawy nie zjawiał się rzekomo poszkodowany. Korespondował natomiast z sądem w czasie rozprawy telefonicznie (sej. etarka przynosiła na salę kolejne meldunki) podając informacje o sobie, że już jedzie, następnie, że się spóźni i wreszcie, że został pobity przez Pogotowie Ratunkowe. Sąd wydał polecenie sprawdzenia tej informacji. Informacja okazała się zgoła fałszywa. Rozprawa znów została odroczona na dwa tygodnie, do 25 października, z poleceniem sądowym doprowadzenia rzekomo poszkodowanego na rozprawę przez organa milicyjne. Wszystko to zakrawało na farsę i byłoby nią, gdyby nie to, że wciąż znajdowaliśmy się w więzieniu.

W czasie rozprawy zostało ponownie przeprowadzone całe postępowanie dowodowe, które, jak i poprzednie, wykazało absolutny bezsens tej sprawy.

A „poszkodowany” wciąż się nie zgłaszał. W pierwszych fazach sprawy występował on jako tak zwany oskarżyciel pomocniczy, a więc również miał swojego adwokata. Wobec zupełnie niezrozumiałego zachowania się „poszkodowanego” sąd pozbawił go tej funkcji. Zniknął więc z sali również adwokat pijaka. Tym bardziej iż jeden ze świadków stwierdził, iż widuje go i rozmawia z nim nie dalej niż dwa „ni” przed rozprawą. Wobec niemożności doprowadzenia go, rozprawa została odroczona na dalsze 2 tygodnie, do 6 listopada.

A my wciąż siedzimy. Znając tę sprawę od początku, wcale nie wierzę, że się tym razem skończy, ale wiem na pewno, że skończyć się musi. Teraz już nie nudzę się, uczę się szybko ze wszystkich podręczników, jakie wpadły mi do ręki. Uzupełniam to, na co nigdy nie miałam czasu.

6 listopada sprawa nie odbyła się. Konwój powiedział nam, iż nie jesteśmy umieszczani na liście przewozowej. Rodzinie i adwokatowi powiedziano, iż zabrakło konwoju, który mógłby dowieźć nas do Sądu. Mnie już właściwie było wszystko jedno — przyszykowałam się na długie posiedzenie w „domeczku”, aż do wyjaśnienia. Nadszedł następny termin — 16 listopada. Tym razem znaleźliśmy się wszyscy w komplecie. Rzekomo poszkodowany został doprowadzony przez dzielnicowego. Głównym punktem programu była identyfikacja portfela-portmonetki, zakwestionowanego w mieszkaniu mojego kierowcy.

Zdegenerowany alkoholik po roku trwania całej sprawy zupełnie zapomniał, co opisywał w pierwszych zeznaniach, które spowodowały nasze uwięzienie. Tym razem opisał dokładnie swój własny portfel, zresztą, zgodnie — nawet w szczegółach — z podanym przez lekarza dyżurnego Izby Przyjęć szpitala, gdzie wymachiwał nim po otrzeźwieniu. Sędzina była bardzo dokładna. Dłużej zatrzymała się nad identyfikacją dowodu rzeczowego. Wreszcie kazała narysować rzekomo poszkodowanemu swój „ukradziony” portfel.

Konfrontacja opisu i zatrzymanego portfela nawet w drobnych szczegółach była diametralnie różna.

Sąd zapowiedział zamknięcie sprawy i ogłoszenie wyroku na dzień 19 listopada.

Czas oczekiwania wyroku przeleciał mi błyskawicznie. Nigdy, przez uprzednie 13 miesięcy, tak szybko mi nie pędził.

Sala, w której miano ogłosić wyrok, była bardzo mała. Wszyscy wpychali się, starając jak najbardziej zmniejszyć swoją objętość, by udostępnić miejsce reszcie. Zauważyłam, iż w tym najważniejszym momencie dla całej sprawy nie ma na sali mojej milczącej prokurator. Na ogłoszenie wyroku przysłała swojego zastępcę. Sąd w imieniu prawa i Rzeczypospolitej uwolnił nas w całej rozciągłości od zarzuconego czynu. Rzekomy dowód rzeczowy w postaci portfela-portmonetki nakazał zwrócić mojemu kierowcy, jako jego bezsporną własność, a nas uwolnić natychmiast z aresztu.

Na sali rozległy się oklaski i szlochy. Niestety, musieliśmy jeszcze wrócić do swego pawilonu, aby rozliczyć się z rzeczy pobranych i zabrać swoje.

Oczywiście tym razem po wyjściu z sali konwój dał nam się do woli wygadać i wycalać z naszymi najbliższymi. Jednak musieliśmy jeszcze raz pojechać z konwojem, odizolowani, do więzienia.

BARBARA MAKOWSKA-WITKOWSKA

Copyright by Barbara Makowska-Witkowska



Neil Tennat i Chris Lowe postanowili kilka miesięcy temu założyć duet i ochrzcić się „Pet Shop Boys”. Pet shop oznacza sklep z psimi akcesoriami. Dlaczego więc nazwali tak swój zespół? Tego nie wie nikt. Oni sami też udzielili na ten temat co najmniej stu równie głupkowatych wyjaśnień.

CHŁOPCY ZE SKLEPU ZOOLOGICZNEGO

Jedno jest wiadome: nazwa zrobiła sporą karierę od czasu sukcesu duetu w Stanach Zjednoczonych. Pet shop boys — tak zaczęto nazywać w Ameryce panów, którzy lubią panów.

Wracajmy jednak do naszych bohaterów.

Christopher Lowe — młodszy „Chłopiec ze Sklepu Zoologicznego” swoją przygodę z muzyką zaczął od gry na puzonie. Jego dziadek, puzonista w zespole jazzowym, pozwalał wnukowi pograć od czasu do czasu proste kawałki na swoim instrumencie. Efektem tego było założenie przez kilkunastoletniego Chrisa zespołu „One Under the Eight”, który w Blackpool przygrywał parom do tańca. O karierze muzyka nie myślał jednak poważnie. Pracował w hotelu, czyścił kieliszki i szklanki w jednym z barów, był także prezenterem dyskotekowym. Po ukończeniu szkoły postanowił jednak wstąpić na uniwersytet i tam zdobyć jakiś konkretny zawód. Studiowanie architektury interesowało go o tyle, że przyszły fach gwarantował mu niezależność finansową i w miarę dostatnie życie. Studia upłynęły szybko i po zdaniu ostatnich egzaminów Chris zatrudnił się w porządnym londyńskim biurze projektowym. Poznał jednak Neila i jego życie zmieniło się diametralnie. Neil Tennat jest synem górnik z North Shields. O muzyce też nigdy nie myślał poważnie, chciał mieć porządną pracę, normalny dom i pracę. Na życzenie rodziców rozpoczął studia historyczne w Londynie, które po kilku miesiącach przestały go interesować. Zajął się więc pisaniami komiksowych opowieści o supermanach, szpiegach i gangsterach.

Kiedy poznał Chrisa, postanowili wspólnie napisać książkę o Boyu George’u. Z planów jednak nic nie wyszło, ponieważ Neil zwerbowany został przez magazyn muzyczny „Smash Hits”. Został więc dziennikarzem.

Przeprowadzał wywiady z gwiazdami rocka i pewnie trochę im zazdrościł, ponieważ sam zaczął pisać piosenki, na razie chowając je do szuflady biurka.

Pewnego razu redakcja wysłała Neila do Nowego Jorku, aby tam przeprowadził wywiad ze Stingiem. Po koncercie spotkał przypadkowo producenta nagrań Bobby’ego Orlando i opowiedział mu o swoich piosenkach w szufladzie. Bobby entuzjastycznie przyjął opowieść i zaproponował młodym dziennikarzowi współpracę.

Wkrótce Neil i Chris znaleźli się w studiu. Nie bardzo potrafili śpiewać, ale czegoś nie robi dziś współczesna technika. Wystartowali z singlem „West End Girls”, który natychmiast trafiał na listy przebojów w Stanach Zjednoczonych. Sprzeczka z Bobbym sprawiła, że przyjaciele zostali się z producentem i ze złości nagrali nową wersję tej piosenki. Zyskała ona tak niesamowitą popularność, iż odtwarzana była przez stacje radiowe kilka razy dziennie.

Od tego czasu przez dyskoteki przeleciały kolejno: „Love Comes Quickly”, „Opportunities” i — najbardziej chyba znana — „Suburbia”, która znalazła się także na debiutanckim krążku „Pet Shop Boys”, wydanym w 1986 roku. Neil i Chris śpiewają w niej o swoim dzieciństwie: nudzie, która deprawuje, nudzie, która podsuwa narkotyki i formuje młodych ludzi w gangi i grupy chuligańskie.

Dziś „Chłopcy ze Sklepu Zoologicznego” pracują ostro. Sukces, który osiągnęli, jest bardzo kruchy. Muszą się jeszcze wiele nauczyć, żeby coś znaczyć w show-businessie. Właśnie pojawił się ich nowy album „Actually”, a oni sami wybierają się na tournée. Chcą sami występować na koncertach, bez dodatkowych chórków i pomocniczych sekcji, wspierani tylko tonami syntezatorów i komputerów. I to chyba wszystko, co można dziś powiedzieć i napisać o duecie „Pet Shop Boys”, którego powstanie żywo przypomina bajkę o Kopciuszku, który w ciągu kilku chwil zdobywa wszystko. To, co robią, jest na swój sposób przyjemne w słuchaniu, ale tylko w słuchaniu. Nie ma więc sensu dokonywać głębokich analiz ich — nazwijmy to — twórczości. Ponieważ lubicie czytać takie historyjki z „wyższych sfer”, więc podzielę się z Wami moją opowieścią, którą przeczytałem w jednym z zachodnioeuropejskich brukowców.

Za tydzień wywiad z sympatycznymi „Chłopcami ze Sklepu Zoologicznego”.



George Harrison wziął udział w koncertach charytatywnych, zorganizowanych z okazji urodzin księcia Walii. Podczas londyńskiego występu towarzyszył mu m.in. Eric Clapton i Jeff Lynne. George, który mieszka teraz w Henley nad Tamizą, zapowiedział, że jego najnowszy album utrzymany będzie w stylu muzyki lat sześćdziesiątych.

Tygodnik „Brawo” donosił, że Michael Jackson poprosił o rękę starszą od niego o 27 lat Elizabeth Taylor.

rock serwis

Niestety, nie wiemy, czy oświadczenie zostało przyjęte.

Wznawia działalność popularna w latach siedemdziesiątych grupa „Dobry Braters”. W lipcu zespół wystąpił na koncertach z Carlosem Santaną i Jamesem Taylorem w Moskwie.

Ponad 40 tysięcy karnetów po 700 złotych sprzedano na specjalny koncert „Perfectu” — „Perfect Day”. Impreza odbyła się we wrześniu, na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia. Koszt specjalnej sceny wyniósł 10 milionów złotych, aparatura nagłaśniająca miała moc 50 tysięcy watów. Cały dochód z koncertu przeznaczono na Fundację Rozwoju Sztuki Rockowej „Na Zawsze”.

Phil Collins jest producentem najnowszej płyty Paula Younga.



Whitney

Najpopularniejszą piosenkarką w Stanach Zjednoczonych jest w ostatnim czasie Whitney Houston — ciemnoskóra wokalistka śpiewająca „soul disco”. Drugi w karierze Whitney album zatytułowany jej imieniem ukazał się w maju tego roku i zajmuje wysokie pozycje na listach bestsellerów. Singel pilotujący ten album — „I Wanna Dance With Somebody (Who Loves Me)” — pojawił się od razu na trzecim miejscu „Top 20”. Nie wszystkim artystom to się udaje. Whitney, pomimo pozorów mało doświadczonej w tej branży, nie jest nowicjuską. Do swojego zawodu przygotowywana była starannie przez znaną wokalistkę soulową Cissy Houston — czyli jej matkę, oraz przez ciotkę — samą Dionne Warwick.

Matka towarzyszyła występom Elvise Presleya, śpiewając w chórze, a mała wówczas Whitney towarzyszyła całej grupie artystów w trasie koncertowej. Scenę zna zatem bardzo dobrze. Aby dojść do obecnej perfekcji, zarówno jako piosenkarka oraz po prostu ładna i zgrabna dziewczyna — musiała przejść wiele: kuracje, specjalne zabiegi, masaże, diety. Była fotomodelką, współpracowała z wieloma znanymi magazynami mody, występowała też w wielu reklamówkach telewizyjnych. Głos — wiadomo — odziedziczyła po matce, ale ukształtowała też gruntowne wykształcenie muzyczne.

W 1982 roku podpisała pierwszy kontrakt płytowy z firmą „Arista” i pod jej opieką pozostaje do dziś. Zdobyła wiele cennych nagród, m.in. za twórczość w 1986 roku uzyskała największą nagrodę — amerykańskiego show-businessu — „Grammy Awards”, i to w sześciu kategoriach.

kłopoty z „Moniką”

W tygodniku („Kontakty” nr 34/87) został zamieszczony list Bogusława Szymańskiego, dotyczący naprawy pompy.

Obywatel Bogusław Szymański zakupił 1 września 1986 r. w sklepie zaopatrzenia ogrodniczego nr 1 pompę wibracyjną do wody typu „Monika”, produkowaną przez Rzemieśniczą Spółdzielnię Elektryków w Warszawie.

Wraz z urządzeniem otrzymał instrukcję obsługi i kartę gwarancyjną. Gdyby klient uważnie przeczytał instrukcję oraz wytyczne odbioru i obsługi gwarancyjnej, wówczas zgłosiłby reklamację do Zakładu Elektromechanicznego w Warszawie, sprawującego obsługę gwarancyjną.

Po ośmiu miesiącach eksploatacji (6 maja 1987 r.) ob. Szymański dostarczył uszkodzoną pompę do sklepu, celem dokonania naprawy w ramach udzielonej przez producenta gwarancji. Nadmieniamy przy tym, iż Spółdzielnia Ogrodnicza nie posiada serwisu sprawującego obsługę gwarancyjną sprzedawanego sprzętu, bo takich uprawnień producent Spółdzielnia nie udzielił.

Mając na uwadze dobro i interes klienta reklamację sklep przyjął, mimo że — zgodnie z warunkami gwarancji — nie miał obowiązku przyjęcia uszkodzonego towaru. Pompa została wysłana 8 maja 1987 r. do producenta celem dokonania naprawy. Producent przesłał naprawioną pompę do WSOP 1 czerwca 1987 r. i w tym samym dniu odebrał ją kupujący. Następnego dnia kupujący zgłosił ponowną reklamację i żądał ponownego przesłania towaru do naprawy. Wyślane 10 czerwca 1987 r. urządzenie zostało naprawione i przesłane na adres sprzedawcy 1 lipca 1987 r. Z chwilą otrzymania urządzenia zawiadomiliśmy kupującego,

by odebrał naprawioną pompę, lecz ten odmówił przyjęcia urządzenia i zażądał wydania nowej pompy.

Instrukcja obsługi opracowana przez producenta, stanowiąca jednocześnie kartę gwarancyjną, określa wyraźnie, iż gwarantem jest Zakład Elektromechaniczny E. Kolmus w Warszawie, ul. Grochowska 16 i tam kupujący winien zgłaszać reklamację. O tym stanowi Uchwała 71 RM (załącznik do Uchwały 71 Rozdz. 2 par. 29).

Fakt, że sklep pośredniczył w wyreżymowaniu w załatwieniu reklamacji jest pozytywnym gestem kierownika sklepu i za to winien kupujący przynajmniej powiedzieć słowo „dziękuję”. W przypadku zgłoszenia przez klienta żądania zapłaty kary umownej, ten pozytywny gest sprawi, że kierownik będzie musiał zwrócić WSOP w Łomży kwotę, którą wypłaci się ob. Szymańskiemu.

Pragnę nadmienić, że pompa jest sprawna i nadaje się do dalszego użytkowania. Mimo rozmów i pisemnych wezwań ob. Szymański uporczywie odmawia przyjęcia naprawionej pompy „Monika”, licząc na zamianę używanego ponad 8 miesięcy sprzętu.

ZBIGNIEW ŻŁOBIŃSKI
WSOP w Łomży



Okręgowy Inspektorat Państwowej Inspekcji Handlowej w Białymstoku informuje, że w okresie 13—27 sierpnia 1987 r. przeprowadzono inspekcję w sklepie Zaopatrzenia Ogrodniczego nr 1 oraz Zarządzie WSOP w Łomży.

W wyniku kontroli oraz przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego stwierdzono szereg nieprawidłowości, które potwierdzają zasadność skargi obywatela Bogusława Szymańskiego. W świetle obowiązującej Uchwały nr 71 RM z 13.06.1983 r. przysługuje obywa-

telowi wymiana zareklamowanej pompy „Monika” na nową oraz naliczenie i wypłacenie kar za nieterminowe załatwienie pierwszej naprawy gwarancyjnej oraz zwłokę w załatwieniu reklamacji.

Producent pompy „Monika” (Rzemieśnicza Spółdzielnia Specjalistyczna Elektryków w Warszawie) nie określił w karcie gwarancyjnej liczby napraw uprawniających do wymiany towaru na wolny od wad. Wobec tego klientowi przysługuje wymiana na nowy egzemplarz z chwilą ujawnienia i zgłoszenia wady po raz wtóry. Pierwsza naprawa okazała się nieskuteczna (pompę odebrano 1.06.87 r. jako naprawioną, sprawdzenie jej sprawności mogło nastąpić dopiero w miejscu zamieszkania) i dnia następnego (2.06.87) wada została zgłoszona ponownie.

Zgłaszając reklamację (2.06.1987 r.) Obywatel wyraził żądanie naprawy pompy, bądź wymiany. Żądanie wymiany mogło być spełnione natychmiast w sklepie, ponieważ takie same pompy były w sprzedaży. Prawdą jest, że Obywatel tym żądaniem wyraził też swoją zgodę na naprawę, lecz nie został uzgodniony inny (dłuższy) termin.

Pompa zareklamowana 2.06.87 r. wróciła z zakładu naprawczego dopiero 1.07.87, więc dwa tygodnie po upływie czternastu dni od daty zgłoszenia reklamacji. W tym czasie (po odczekaniu 14 dni) złożył obywatel do Zarządu WSOP w Łomży swoje żądanie wymiany pompy na nową i wypłacenie kar (co przysługuje zgodnie z par. 39 ogólnych warunków umowy).

Z przeprowadzonego postępowania wynika, iż faktycznie producent nie potwierdzał na bieżąco w dokumentacji (karcie gwarancyjnej) faktu dokonania naprawy. W wyniku ponownego przesłania mu dokumentu uzupełnił tylko lakonicznym wpisem datę, bądź w drugim przypadku informacją „naprawiono w miesiącu czerwcu 87 r.”,

co jest niezgodne z przepisami.

Powyższe ustalenia były potwierdzeniem, że zarówno personel sklepu, jak też pracownicy biurowi WSOP nie byli przeszkoleni w zakresie Uchwały 71 Rady Ministrów. Sprawa odmowy przyjęcia pompy w sklepie w dniu 6.05.87 r. miała swoją podstawę prawną (par. 29 ww. przepisu). W karcie gwarancyjnej wskazany był zakład naprawczy, gdzie realizowane są usługi gwarancyjne, natomiast nie było ustalenia, że naprawa odbywa się za pośrednictwem sklepu. W tym przypadku przysługiwał jednak zwrot kosztów poniesionych przy wysyłce (art. 580 par. 1 kodeksu cywilnego). Natomiast w drugim przypadku zgłoszenia wady nabył obywatel uprawnień z tytułu rękojmi zgodnie z par. 25. pkt 2 ogólnych warunków gwarancyjnych, dotyczących towarów trwałego użytku i w związku z tym obowiązek załatwienia reklamacji (również przez naprawę) spoczywał na sprzedawcy.

Ponadto w toku inspekcji potwierdzono zarzuty dotyczące: przeterminowania załatwienia podania-pisma obywatela z dnia 16.06.87 r., braku w sklepie w pierwszych dniach maja druków „Zgłoszeń reklamacyjnych” oraz niekulturalnej obsługi klientów w sklepie. W związku z tym Inspektorat wystąpił do Zarządu WSOP z następującymi wnioskami: załatwienia sprawy obywatela zgodnie z żądaniem, ukarania służbowego kierownika zakładu, p.o. wiceprezesa ob. Żłobińskiego, i kierownika sklepu, Jadwige Wyrwas, oraz z szeregiem wniosków usprawniających. Jednocześnie Inspektorat informuje, iż w przypadku niezakończonych przez WSOP sprawy Obywatela zgodnie z żądaniem oraz zaleceniami PIH — pozostaje dochodzenie swych roszczeń na drodze sądowej.

Mgr JÓZEF OLSZEWSKI
okręgowy inspektor PIH
w Białymstoku

co po krytyce



Kilka miesięcy temu w „Kontakcie” zamieściliśmy informację o tym, że właściciel większej sumy dolarów, która trafiła na jeden z łomżyńskich śmietników, może się zgłosić do RUSW w Łomży, by — po udowodnieniu swego prawa własności — odebrać pieniądze. Przypuszczaliśmy, że zgłaszających się będzie niemało. Tymczasem do redakcji zadzwoniło zaledwie kilka osób, głównie po to, by się upewnić, czy to żart, czy „podpucha”, czy też prawda. Jedną z łomżyńskich przekonał, że jej zagubionych czterdzieści parę dolarów to nie jest „większa suma”, którą mieliśmy na myśli. Do RUSW zgłosił się jeden tylko mężczyzna, który przypuszczał, że mógł wyrzucić pieniądze wraz ze śmieciami, gdy porządkował mieszkanie zmarłej krewniej. Zgadzał się nawet śmietnik, lecz okazało się, że to za mało dla udowodnienia prawa do pieniędzy. Ostatecznie nie ustalono, do kogo mogły należeć i jak się tam znalazły.

Powracając jest też historia znalezienia „zielonego skarbu” przez małolat. Jego rodzice w poważnym stopniu utrzymują się z systematycznego przeglądania łomżyńskich śmietników. Owego ranka na niego wypadła kolejka porannej inspekcji. W jednym pojemniku zauważył starannie zawiniętą paczuszkę z wypisaną kwotą dolarów. Rozwinął ją; w środku rzeczywiście były zielone banknoty. Chwycił je i pobiegł pod sklep „Pewer”. Z niecierpliwością czekał na jego otwarcie, po czym zażądał czekolady. Sprzedawczyni, która znała chłopaka i sposób życia jego rodziny, wołała nie odpowiadać za ukrywanie wiedzy o skradzionej studolarówce. Milcjan-tom chłopak udowodnił jednak, że znalazł tę fortunę, bowiem we

wskazany śmietniku jeszcze leżało jej opakowanie. Gdyby chłopiec od razu zgłosił znalezienie pieniędzy, mógłby liczyć na okrągłą sumkę „znalezioną”, za którą mógł kupić wiele czekolad.

Dorośli robią często gorsze interesy niż dzieci. Pracownica Zakładu Płyt Wiórowych w Grajewie, Zofia Sz., odsprzedała metr sześcienny swoich „przydziałowych” płyt wartości 24 156 złotych Henrykowi J. za 40 000. Po roku sprawa się wydała i za ten zarobek będzie ona odpowiadała z artykułu o spekulacji, podobnie jak inny pracownik ZPW, Stanisław K., który kupił w zakładzie płyty za 20 862 złote i wziął od Tadeusza Ł. 10 000 odstępnego.

Właściciel prywatnego zakładu murarskiego w Rutkach chciał zaoszczędzić na wydatkach i nie zgłosił w Urzędzie Skarbowym, że zatrudnia robotników. Ponieważ jednak nie udało się tego faktu skutecznie ukryć, zamiast zysku będzie pewnie miał straty.

Dwudziestocześcioletni Wiesław K. z Kołak Kościelnych zarabiał na życie jako kierowca-kontroler w zambrowskim oddziale KPKS-u. Zgodnie z dość powszechnie panującą w Polsce filozofią życiową, do niskich płac należy dorabiać tak, by się nie narobić. Najwygodniej „skubać” własną firmę. Wiesławowi K. udowodniono, że zagarnął mienie społeczne w wysokości 16 zł, czyli równowartość biletu, którego nie dał pasażerowi, choć pobrał pieniądze. Został oskarżony z artykułu 200 § 1 kodeksu karnego, który przewiduje karę pozbawienia wolności od roku do 10 lat.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej w Łomży

przeprasza

MIESZKAŃCÓW ŁOMŻY

za przerwy w dostawie ciepłej wody w dniu 4 września 1987 r. Przerwy były spowodowane podłączaniem odcinka nowej magistrali ciepłowniczej do istniejącej sieci.

K-361

WOJEWÓDZKI SZPITAL ZESPOLONY

zatrudni natychmiast

- ★ palaczy kotłów parowych wysokoprężnych z uprawnieniami serii „E”
- ★ brygadzystów palaczy kotłów wysokoprężnych z uprawnieniami serii „E” lub „D”
- ★ elektryków z uprawnieniami bez ograniczeń
- ★ nawęglaczy i odżuźlaczy
- ★ spawacza
- ★ ślusarza.

K-362

OGŁOSZENIA DROBNE

POGOTOWIE Telewizyjne — ZU RTV Łomża czynne w wolne soboty i niedziele od godz. 10.00 do 13.00, tel. 959.

SPRZEDAM plac 0,8 ha z zabudowaniami drewnianymi. Nowogród, Poległych 28. K-3738

SPRZEDAM przyczepę campingową

N126, sklegjkę 6 mm. Łomża, tel. 56-43.

ZAMIENIĘ kawalerkę własnościową (Warszawa centrum, telefon) na 2-pokojowe Łomża. Tel. 20-06-94.

SPRZEDAM dom. Wiadomość: Łomża, tel. 20-68 (po godz. 15.00).

K-4016

kontakty

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Jan Oniszcuk, Stefan Ostrowski, Witold M. Patoka, Gabriela Szczesna, Władysław Tocki, Danuta Wróńska, Aleksander Wróński, Stanisław Zieliński. **Fotoreporter:** Gabor Lőrinczy. **Redaktor graficzny:** Stanisław Kędzielski. **Redaktor techniczny i korekta:** Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dwor-niczak, Bronisław Gołębiowski, Wiesław Kołowski, Piotr Kunciewicz, Krzysztof Kurianluk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska. **KONCEPCJA GRAFICZNA** — Marek Goebel.

ADRES REDAKCJI: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7. **Telefony:** 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja) **Telex:** 85-22-85 **Wydawca:** RSW „Prasa-Książka-Ruch” Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. **Druk:** Białostockie Zakłady Graficzne — dyr mgr Witalis Sadowski, Kierownik Oddziału Gazet i Czasopism — Stanisław Fajst. **Zam. 1362/87 r. Nakład 15.200 egz. PL ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przy-jmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty” 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 260 zł, półrocznie — 520 zł, rocznie — 1040 zł. Tekstów nie zamawianych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. W-9.**

to był bieg

Na kilka dni zapomniałem o różnych atrakcjach rodzimej telewizji — na prądkowanym ekranie istniały dla mnie tylko lekkoatletyczne mistrzostwa świata w Rzymie. Czy to nie wstyd tak o wszystkim innym z programu TVP zapomnieć, nawet o głównym wydaniu dziennika, magazynach „Czas” i „Teraz”, a także o pracowni wypracowanej przez redakcję rolą serialu „Złota 87”? No cóż, o złociach wolę dowiedzieć się cokolwiek na polu, a nie samym oglądaniem telewizora człowiek może mózg karmić — przydaje się przede wszystkim poczytać cokolwiek. Poza tym mistrzostwa świata wzięły mnie w jasyr zupełny, bo ciekaw byłem, czy Ben Johnson tylko się przechwalał, gdy zapowiedział: „Przyjechałem tu, aby zwyciężyć”.

Czarnoskóry Kanadyjczyk przyjechał do Rzymu pierwszy i rozgłaszał, że jest najlepszy w świecie, że Carl Lewis zobaczy tylko jego plecy. To stwarzało napięcie już przed przyjazdem amerykańskiego śpiewającego sprintera, a co dopiero, gdy stawali na bieżni w blokach! No i stało się to, co zapowiedział Johnson; pobiegł cudownie w finale, choć w ćwierć i półfinałach szybszy był Lewis. Johnson zapowiadał pobicie rekordu życiowego, a pobił aż rekord świata — 9,83! To był bieg... Wydawało się, że trwa bardzo długo, jak doskonałe widowisko na scenie, gdy katharsis przenosi, zdawałoby się, w całą wieczność, a przecież to była tylko chwila kilkusekundowa. Tyle że katharsis powtarza się za każdym razem, gdy człowiek patrzy na ten sam dramat, a w sporcie jest tylko jeden raz, wówczas gdy gra się dokonuje, bo wspaniały bieg powtórzony z taśmy magnetycznej już jest — tylko odbiciem tego, co było...

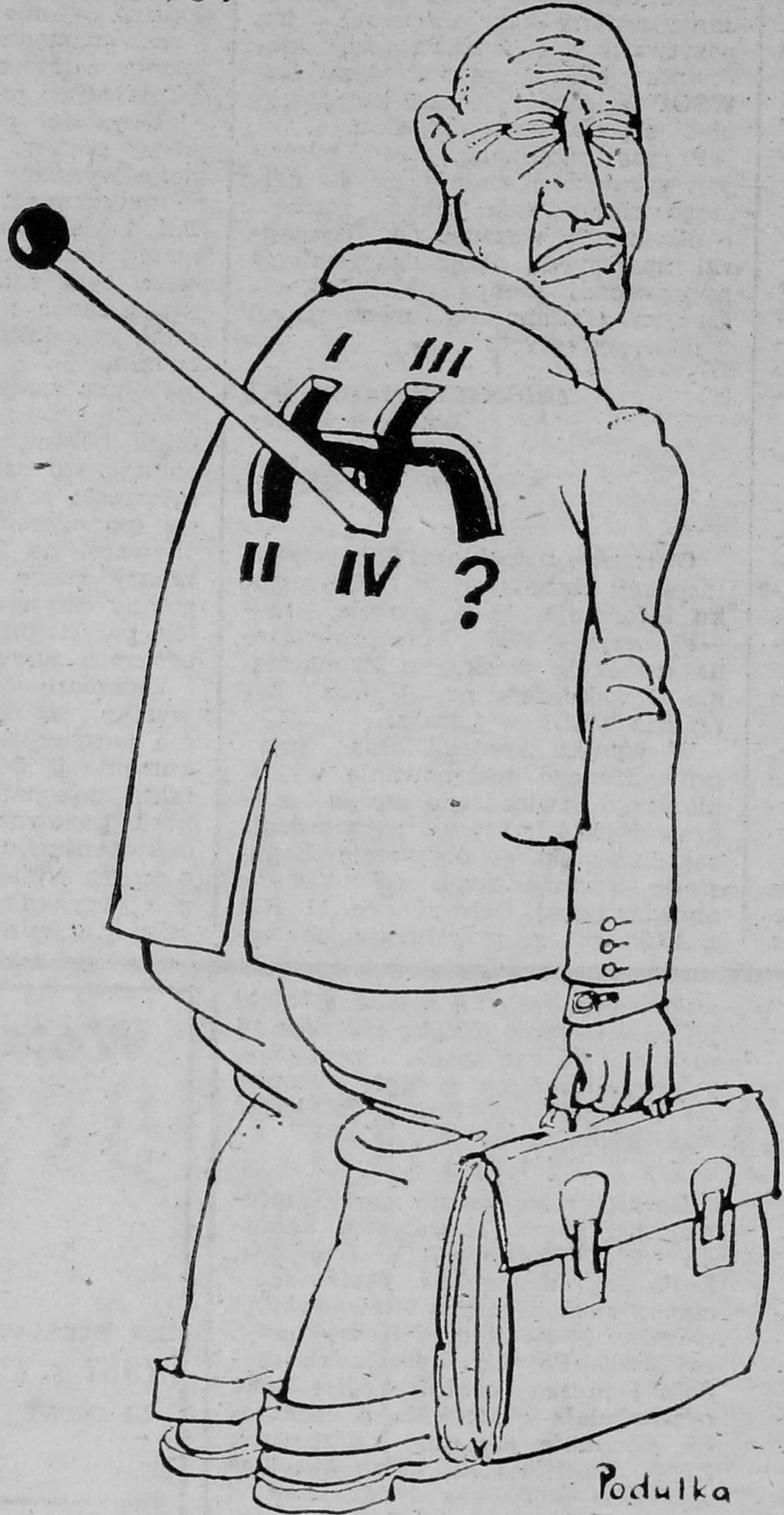
Cudowny moment sportowy błyskawicznie ucieka w przeszłość. Oglądanie konkurencji sprinterskich na stadionie, a i w telewizji, daje niemożliwą przy czymkolwiek innym rozkosz — napięcie wówczas, gdy zawodnicy wchodzą na swoje tory, gdy przykłękają, opierają dłonie tuż przed białą linią, opierają kolce w blokach, podnoszą — już napięci — biodra i gdy pada strzał. Bieg na 100 metrów — to zawsze przede wszystkim start;

na starcie też wygrał w finale Ben Johnson z Carlem Lewistem. Dobieganie — to tylko dopełnienie tego, co się rozstrzygnęło od momentu wyjścia z bloków do wyprostowania sylwetki na kilku pierwszych metrach dystansu. To jest ten cudowny błysk biegów sprinterskich, którego nie ma w żadnej innej konkurencji. Wystarczy tylko zauważyć (jeśli ktoś słucha czegoś więcej niż komy i pistoletu startera), co się wtedy dzieje z głosem każdego sprawozdawcy, niezależnie od jego talentów i szkoły — coraz mniej słów i zawieszenie głosu, a potem dopiero trzepotliwy komentarz aż do niezawodnego podniesienia głosu i westchnienia, gdy na ekranie

błyska linia mety. W pokazywaniu konkurencji sprinterskich telewizja ma swoją naturalną reżyserię, sygnalizowaną muzycznie rytmem słów i zmianami wysokości głosu sprawozdawcy.

Wyznam, że tak się rozgadałem o sprintie w telewizji, o biegu Johnsona pokazywanym z Rzymu, bom sam chory na uzależnienie. Sam ongiś, w szkolnych latach, biegłem na dystansach sprinterskich w grupach wielkiej klasy trenerów, Gerarda Macha w warszawskiej „Legii” i Władysława Puzia w „Gwardii”. I zawsze mnie tych 100 metrów, o krzywa pelargonio! nawet/przez telewizję bierze.

W AMATOR



Rys. Andrzeja Podulki

ŚWIAT PEŁEN TAJEMNIC

Kenneth Arnold, prezes produkującej gaśnice firmy z Boise (Idaho), po podróży służbowej do Chehalis w stanie Waszyngton postanowił wrócić do Yakimy własnym samolotem. Wystartował stamtąd 24 czerwca 1947 roku, dokładnie o godz. 14.00. „Pogoda była tego dnia tak piękna, że lot stanowił prawdziwą przyjemność” — wspominał potem przed licznymi zebranymi reporterami.

Pogoda musiała, zresztą, być dobra, aby w ogóle przedsięwziąć taką podróż. Wystarczy spojrzeć na mapę, by przekonać się, że droga lotnicza wiodąca z Chehalis do Yakimy wiedzie nad Górami Kaskadowymi z dosyć wysokimi grzbietami Mount Rainier. Gdy Arnold docierał już do tych szczytów, przypomniał sobie, że gdzieś w pobliżu tego miejsca rozbił się niedawno transportowy samolot marynarki amerykańskiej C-46, a za odnalezienie jego wraka wyznaczono nagrodę 5000 dolarów. Czy nie warto skorzystać z okazji?

Ledwie jednak spojrzał przed siebie — nieoczekiwanie oślepił go promień światła. Rozejrzał się ponownie w poszukiwaniu jego źródła. Nie odkrył go, ale dostrzegł po lewej stronie, na wysokości około 3000 metrów, na północ od Mount Rainier, cały rząd pędzących jeden za drugim samolotów. Sądząc po szybkości lotu, były to zapewne odrzutowce, przy czym co kilka sekund niektóre z nich zmieniały jakby kurs, albo przechylały się w

ten sposób, że odbijające się w nich słońce błyskało właśnie w kierunku samolotu Arnolda.

„W młarę zbliżania się — zeznał potem — ze zdziwieniem zauważyłem, że odrzutowce te nie miały w ogóle ogonów. Leciwały mniej więcej na tej samej wysokości co i mój samolot, równoległe do horyzontu, z odchyłami do 300 metrów w górę i w dół. Było ich dziewięć i leciały dokładnie jeden za drugim, niemal w linii prostej, jak — dzięki gęści; tak równo, że sprawiały wrażenie, jakby były ze sobą jakoś połączone.”

BŁYSZCZĄCA ESKADRA

Odległość tych niezwykłych samolotów od siebie ocenił Arnold na około 40 kilometrów, ich wielkość zaś na 2/3 wielkości DC-4. W momencie gdy przelatywały ponad łańcuchem Mount Rainier, Arnold zauważył, że pierwszy z obiektów osiągnął szczyt południowy łańcucha akurat w chwili, gdy ostatni mijął szczyt północny. Z dokładnych późniejszych pomiarów okazało się, że wierzchołki te odległe są od siebie o 3 kilometrów.

„Zadziwiony tym niezwykłym zjawiskiem — pisał Lucjan Znicz w „Nieznanych obiektach latających” — młody businessman wykazał jeszcze tyle chłodnej krwi, że nacisnął stoper, aby zbadać ich niesamowitą według niego prędkość. Odległość od grzbietu Mount Rai-

nier do położonego na południowy zachód Mount Adams przebyły one w ciągu 1 minuty 42 sekund. Pozwoliłem sobie zmierzyć tę odległość (w prostej linii wynosi 80 km) i obliczyć prędkość. Była rzeczywiście niesamowita: dokładnie 2808 km/h.”

Nie dziwnego, że w tej sytuacji niefortunny pilot przekonany, że natknął się niechcący na przeprowadzane nad bezludnymi okolicami próby jakiejś nowej amerykańskiej broni lotniczej, bezpośrednio po wylądowaniu pochwalił się tym przed pracownikami lotniska. Prze-

kazywana pod sekretem wieść o lotem błyskawicy dotarła do miejscowego szeryfa... i wówczas dopiero wybuchła bomba. Szeryf kategorycznie zaprzeczył, aby w okolicach Mount Rainier znajdował się jakikolwiek poligon doświadczalny US Army.

„Uważam, że nie byłbym lojalny wobec swojej ojczyzny — oświadczył skromnie Arnold wobec zgromadzonych na zaimprovizowanej konferencji dziennikarzy — gdybym obserwację swoją zachował w tajemnicy. Samoloty leciały jeden za drugim w jakiś dziwny sposób, jak spódki, gdy się rzuca płasko na wodę. W kryształicznie czystym powietrzu mogłem to bardzo wyraźnie zaobserwować. To było tak, jakby leciały talerze.” (dik)

SAMOTNY JEŹDZIEC

Profesor Mikołaj Kozakiewicz jest postacią powszechnie znaną. Niewiele mamy chyba gazet i periodyków, które nie zamieściłyby z nim wywiadu lub przynajmniej nie wydrukowałyby jego artykułu. Pisarska płodność i polityczna aktywność profesora sprawiły, że w społecznej świadomości znalazło się miejsce dla dwóch Kozakiewiczów: „tego od PRON-u” i drugiego — odważnie głoszącego swoje, nieraz niewygodne dla władzy, poglądy. Niektórzy nawet mylą się, sądząc, iż chodzi o dwie różne osoby, bo rzeczywiście trudno uwierzyć, że jeden człowiek mógłby zajmować się tylu dziedzinami i we wszystkich być autorytetem. Studiował filozofię i socjologię; jest pracownikiem Instytutu Socjologii Wsi PAN-u, prezesem Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, Towarzystwa Rozwoju Rodziny, aktywnym działaczem ZSL-u i PRON-u. Przy tym członkiem jest (zarówno ZSL-u, jak i PRON-u) cokolwiek nietypowym; jak sam twierdzi: „Czasami kłopotliwym, czasami pożytecznym, trochę zdobiącym, ale traktowanym zawsze bardzo wyrozumiale”.

Każda książka Kozakiewicza, a napisał ich już ze trzydzieści, była wydarzeniem jeśli nie czytelnictwem, to przynajmniej dostrzeżonym i dyskutowanym wśród specjalistów. Trzeba jednak powiedzieć, że autor nie chowa się za uczone terminy, pisze przystępnie i zrozumiale dla każdego, choć trochę przygotowanego, czytelnika.

Tym razem zdecydował się wydać zbiór publicystyki pod bardzo adekwatnym tytułem „Co śmiem sądzić”. Rozczaruję się jednak ten, kto spodziewa się publicystycznej swady i temperamentu. Na zbiór składają się głównie wywiady, przemówienia, referaty, głosy w dyskusji, wybrane przez autora nie po to, aby pochwalić się sprawnością pióra (choć Kozakiewicz potrafi pisać doskonale), lecz po to, by możliwie najpełniej zaprezentować swoje poglądy na wszystkie interesujące go sprawy: od polityki po seks. Są więc w nim teksty z wielu trudno dostępnych, niskonakładowych pism: „Kroniki PRON”, „Służby Zdrowia”, „Warmii i Mazur” i „Kontaktów” (tak, tak, profesor u nas też pisywał!).

Profesor mawia, że na polityce się nie zna, ale jeśli pytają, to odpowiada. A że pytają często, czytelnik szybko orientuje się w poglądach autora. Są one, rzecz można, bez przydziału. Nie należą do żadnej z dwóch współczesnych polskich orientacji ideowych: „rządowej” i „kościelnej”, co zmusza Kozakiewicza do uporczywej walki na dwa fronty. Z jednej strony — uważa, że „każda władza powinna mieć ciężkie życie, inaczej wyrodnieje”; dopomina się o demokrację, możliwość rozwijania prawdziwych, a nie sterowanych inicjatyw społecznych; opowiada się przeciwko prymitywnej indoktrynacji ideologicznej w szkołach, przeciwko karze śmierci. Z drugiej strony — jest zdecydowanym rzecznikiem tolerancji religijnej, laickiej szkoły i nowoczesnego planowania rodziny. Jego polemiki w sprawie przerywania ciąży jako żywo przypominają „Naszych okupantów” Bory ze słynnymi politykami z kłędem Pirożyńskim.

Nie wydaje się, żeby profesor Kozakiewicz prezentował poglądy szczególnie oryginalne. Jego zasługa polega raczej na tym, że walczy o prawdy stare, nie idąc na kompromisy z żadną ze stron ideologicznego frontu. Stawia go to w jednym szeregu z tymi przedwojennymi polskimi publicystami, którzy równie odważnie walczyli z zadufaniem władzy, jak i swoim skromnym narodem Ciemnogrodem. Czytając polemiki Kozakiewicza zastanawiamy się, czy świadomość społeczna Polaków zmieniła się w ogóle od stu lat. Zdarza się również, że sprawujący władzę zapominają o szczytnych ideałach, w imieniu których tę władzę zdobywali. Dobrze, że czasami znajduje się samotny jeździec, który im o nich przypomni.

JAN ONISZCZUK

Mikołaj Kozakiewicz — „Co śmiem sądzić”. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987.

CZWARTEK - 24.09.87

Program 1

16.25 „Kwant” — magazyn pop.-nauk.
17.15 Teleexpress
17.30 „Poligon”
18.20 Sonda.
18.50 Dobranoc.
19.00 „W obronie zdrowego rozsądku” — progr. publ.
19.30 Dziennik.
20.00 „Zasłoń jej twarz” (2).
20.50 „Teraz”.
21.20 Studio Sport.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 „Promocje” — program rozrywkowy.
19.00 Muppet show, czyli rewia gwiazd.
19.30 Magazyn medyczny „Puls”.
20.00 „Cieciarowcy” — progr. publ.
20.25 Świat cyrku.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Rewelacja miesiąca: Ruggiero Leoncavallo — „Pajace”.
23.10 „Warszawska Jesień”.
23.25 Wiadomości.

PIĄTEK - 25.09.87

Program 1

16.25 „Najlepszy język — muzyka”.
16.50 „Okienko Pankracego”.
17.15 Teleexpress
17.30 „Mieszkać” — wszechnica budowlana.
17.50 „Skarbiec”.
18.20 Małe Kino.
18.50 Dobranoc.
19.00 Monitor Rządowy.
19.30 Dziennik.
20.00 „Idź i patrz” — radz. film fab.
21.10 Studio Sport.
21.55 Sprawa dla reportera.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 „National Gallery w Londynie” (2).
18.30 Dookoła świata — „Śladami przyjaźni”.
19.00 Magazyn „102”.
20.00 Non stop kolor: „Dire Straits Alchemy” (II).
20.50 „Brawo”.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Filmy Romana Polańskiego „Dziecko Rosemary”.
23.55 Rozmowy intymne.
0.25 Wiadomości.

SOBOTA - 26.09.87

Program 1

9.00 „Drops” oraz „W 80 dni dookoła świata z Willym Fogiem”.
10.30 DT — Wiadomości.
10.40 Stare, nowe, najnowsze.
11.40 „Zdrowie” — magazyn wojsk.
12.10 „W świecie ciszy”.
12.40 Z Polski rodem.
13.10 „Admirał oceanu” — film dok.
13.40 Antologia dramatu powszechnego: John Kesselring — „Arszenik i stare koronki”.
15.00 „Eksport — tak, ale...”.
15.30 Wędrowni dalekie i bliskie: „Szampania i Burgundia”.
16.30 „Prezydenci”.

Kolejne punkty stracił piłkarze Olimpii. Tym razem przegrali w Zambrowie z beniaminkiem — Polonią Nowo 6:2 (0:1), po przeciętnym meczu, w którym zespołem bardziej dojrzałym byli goście. Już w 15 minucie pojedynku po szkolnym błędzie bramkarza (odbił przez niego nogami piłkę napastnik gości) wpełznął do bramki Olimpia stracił gola. Od tej chwili zambrowianie przystąpili do ataku, ale zamiast uporać się z grą, wszyscy chcieli strzelić wyrównującego gola, więc nie z tego nie wyszło, a na boisku stworzył się bałagan. Po przerwie również przewaga optyczna należała do gospodarzy, ale gola znów strzelili goście. W 60 minucie po niepotrzebnym dryblingu Sasnowskiemu wymknęła się piłka, co skwapliwie wykorzystali napastnicy Polonii i było po meczu. Na porażkę, oprócz nonszalanckiej obrony gospodarzy, miało wpływ również to, że drużyna Olimpii jest zdekompletowana kontuzjami po meczu w Grójcu i grają w niej jedynie trzech zawodników z podstawowego składu.

Pomimo padającego deszczu i fińskiego boiska mecz w Czerwonym Borze, pomiędzy miejscowym Gromem i MKKS-em Płońsk, miał zupełnie inny przebieg. Wygrał piłkarze z Czerwonego Bora 3:1 (2:1) i oni — obok ŁKS-u — będą chyba nadawać ton rozgrywkom. Już w 1 minucie spotkania Krawul uciekł z piłką do linii końcowej boiska, podał Skibie, który dopełnił formalności. Sukces rozluźnił sztyki gospodarzy i w 5 minucie, po 45 minutach skutecznej obrony, „świątynia” Mazura

17.00 Studio Sport.

17.15 Teleexpress

18.50 Dobranoc.

19.00 Z kamerą wśród zwierząt.

19.30 Dziennik.

20.00 „Kochankowie mojej mamy”

— pol. film fab.

21.35 Czas.

22.15 Sportowe rytmy tygodnia.

23.00 DT — Wiadomości.

23.10 Kino Noce: „Recydywiści” —

węg. film fab.

Program 2

15.00 „5—10—15”.
16.30 Spektrum.
17.00 Biografie: Siergiej Bondarczuk.
18.30 „Moje piosenki” — Marian Opania.
19.00 Jutro turniej miast.
19.30 Alfa i omega.
20.00 „Warszawska Jesień”.
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Dalekie pawilony” (4) — serial ang.
22.40 Mój jazz: „Saksofoniści” (2).
23.30 Wieczorne wiadomości.



NIEDZIELA - 27.09.87

Program 1

9.00 „Teleranek” i film „Silas” (4).
10.30 DT — Wiadomości.
10.35 „Serce smoka” (5).
11.25 Siedem anten.
12.55 Teatr dla dzieci: „Fasola”.
13.45 Kraj za miastem.
14.15 „Za wolność waszą i naszą” — tel. film dok.
15.05 „W rytmie disco” (9).
16.30 Spotkanie z Bułatem Okudźawa.
17.15 Teleexpress
17.30 Studio Sport.
18.10 Koncert życzeń.
18.20 Antena.
19.00 Wieczorynka.
19.30 Dziennik.
20.00 „Żony Hollywoodu” (4).
20.50 „Pegaz”.
21.40 Sportowa niedziela.
22.30 Klub międzynarodowy.
23.00 Wiadomości.

Program 2

11.00 Jutro poniedziałek.
11.30, 13.00, 14.50, 16.30, 18.10 Turniej miast: Lubartów—Wągrowiec.
12.30 Zwierzęta świata: „Prywatne życie danieli”.
14.00 Kino Familijne: „O Dorocie, która tańczyła na linie” — serial franc.
15.50 Eliminacje mistrzostw świata — formula I, Jaraz (Hiszpania).
17.20 „Kino-oko”.
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic.
19.30 Ekran szczerości.
20.00 Koncert finałowy „Warszawskiej Jesieni”.
20.50 Miasteczko Belz...
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Dzieci z probówki” (1) — serial austral.
23.30 Wiadomości.

PONIEDZIAŁEK - 28.09.87

Program 1

16.25 „Latający Holender” i „Wszystkie zagle w górę” (2).
17.15 Teleexpress
17.30 „Tajemnice Morza Czerwonego” (4).
18.30 Laboratorium.
18.50 Dobranoc.
19.00 Echa stadionów.
19.30 Dziennik.
20.00 Teatr TV: Aleksander Kopkow — „Słoń”.
21.45 „Mówili: nie ma Warszawy, a tu jest Warszawa” — film dok.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 „Sponsor” — teleturniej.
19.00 Galerie świata.
19.30 Gwiazdy wielkiego sportu.
20.00 „Pasje Henryka Kluby” — film dok.
21.00 „Wiltz” — film dok.
21.30 Panorama dnia.
21.45 Biografie: „Goya” (4).
22.40 „997”
23.25 Wiadomości.

WTOREK - 29.09.87

Program 1

16.25 „Krag”.
16.50 „Cojak”.
17.15 Teleexpress
17.30 Gazeta rolnicza.
17.50 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej.
18.50 Dobranoc.
19.30 Dziennik.
20.00 „Pod wiatr” (13 — ostatni).
21.05 „W zupie włos” — film dok.
21.50 „Magnesy estrady” — program rozrywk.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 „Bitwa pod Orleanem” — franc. film dok.
19.30 Program muzyczny.
20.30 „Melpomena '70” — progr. publ.
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Wojna i pokój” (4).
23.20 Wiadomości.

ŚRODA - 30.09.87

Program 1

16.25 „Tik-tak”.
17.00 Studio Sport: PZP.
18.50 Dobranoc.
19.30 Dziennik.
20.00 Studio Sport: PKME.
21.50 Spotkanie satyryczne.
22.40 DT — Komentarze.

Program 2

17.30 Magazyn „102”.
18.30 „Wiatr od Tybetu” — film dok.
19.15 „Uwaga: dokument”.
20.00 „Czas miłości” — film fab. CSRS.
21.05 „I życie i miłość tą samą są prozą” — program poetycki.
21.30 Panorama dnia.
21.45 „Kobieta samotna” — pol. film fab.
23.15 Wiadomości.

zobaczcie koniecznie

◀ W piątek, 25 września, głośny film wybitnego reżysera radzieckiego Elem Klimowa — „Idź i patrz”. Akcja rozgrywa się w 1943 roku, a bohaterem jest kilkunastoletni chłopiec, świadek krwawej pacyfikacji przez Niemców wsi białoruskiej. „Mój młodziutki aktor kręcił najokrutniejsze sceny pod hipnozą — wyznał w jednym z wywiadów Elem Klimov. — Miałem na planie ekipę psychologów i dzięki ich technice hipnozy uchroniłem chłopca przed szokiem, jaką ta rola mogła na zawsze pozostawić w jego psychice.” Reżyser nie oszczędza widzów. W niektórych scenach docho- dzi wręcz do granicy tego, co wid- kinowy może znieść. Jest to swoiste kino okrucieństwa, które wyrzeka się w imię prawdy wszelkich kon- wencji, rządzących widowiskiem fil- mowym (pr. I, godz. 20.00).

◀ W sobotę, 26 września, węgier- ski film „Recydywiści”. Tytułowi bohaterowie to para ludzi, żyjąca w związku kazirodeczym; ze zwią- ku tego rodzą się dzieci. Ponieważ jest to sprzeczne z prawem, ko- chankowie muszą ponieść karę. Trafiają do więzienia. Reżysera — Zsolta Kézdi-Kovasca — interesuje jednak nie pikanteria tematu, lecz wielki, zbliżony do greckich tra- gedii, dramat dwojga ludzi, którzy w momencie narodzin miłości nie wiedzieli, że łączą ich więzy krwi (pr. I, godz. 23.10, Kino Noce).



„Meteor” Ciechanowiec: 24—25.09 — „Być albo nie być”, USA, od 1. 15; 26 — 27.09 — „Słodkie kłopoty”, CSRS, od 1. 15; 29—30.09 — „Nieśmiertelny”, ang., od 1. 15.
„Roma” Grabowo: 24—25.09 — „O-bi-o-ba”, pol., od 1. 15; 26—27.09 — „Waka- cje w Amsterdamie”, pol., od 1. 15; 29—30.09 — „Klasztor Shaolin”, chin., od 1. 15.
„Relax” Grajewo: 24—25.09 — „Hong Gil Dong — karate mistrz” koreański, od 1. 12; 26.09 — „Wielka draka w chiń- skiej dzielnicy”, USA, od 1. 12.
„Oaza” Jedwabne: 26—27.09 — „Jezio- ro Bodeńskie”, pol., od 1. 15; 30.09 — „F/x”, USA, od 1. 18.
„Wrzós” Kolno: 24—25.09 — „Macaroni”, wł., od 1. 16; 30.09 — „Miłość, szmaragd i krokodyl”, USA, od 1. 15.
„Millenium” Łomża: 24—25.09 — „Obcy — decydujące starcie”, USA, od 1. 15; 26.09 — „Prywatne śledztwo”, pol., od 1. 18.
„Naprzód” Mały Płock: 24.09 — „Lek- kie obrażenia ciała”, węg., od 1. 18; 27—28.09 — „Śpiewy po rosie”, pol., od 1. 15; 30.09 — „Skarb hrabiego Chamore”, CSRS, od 1. 18.
„Saturn” Stawiski: 25—26.09 — „Anty- casanova”, jug., od 1. 15; 27.09 — „Nie- winni święci”, hiszp., od 1. 15; 29—30.09 — „Spotkanie po latach”, jug., od 1. 18.
„Awangarda” Wąsosz: 24.09 — „Skok jaguara”, jug., od 1. 15; 26—27.09 — „Ma- rzem o nieobecnym”, NRD, od 1. 15.
„Wars” Wysokie Mazowieckie: 24—25.09 — „Jestem przeciw”, pol., od 1. 15; 26 — 27 i 29—30.09 — „Dawno temu w Ame- ryce”, USA, od 1. 18.
„Kosmos” Zambrów: 24—25.09 — „Obcy — decydujące starcie”, USA, od 1. 15; 26—30.09 — „Świadek mimo woli”, USA, od 1. 18.



została odczarowana. W trzynastie mi- nut później Orłowski centrował wzdłuż bramki gości, a Niedziółka nie zmarno- wał okazji.

Po przerwie piłkarze z Płońska dążyli do zmiany wyniku, tocząc równorzędny pojedynek. W 60 minucie Krawul sil- nie strzela w słupki, w 70 — za Stań- czyka wchodzi Romaniuk, odbiera pił- kę obrońcy gości, jednak bramkarz Płońska wybiegiem zastrzeżuje niebez- pieczeństwo, piłka trafia ponownie do Romaniuka, ten podaje do Skiby, po którego strzale do pustej bramki — o- brońca w ostatniej chwili wybiją piłkę ręką w pole. Rzut karny pewnie egzek- wuje Krawul, ustalając wynik meczu. Oprócz wymienionych w Gromie wy- różnił się jeszcze Gontarz.

Pozostałe wyniki niedzielnej kolejki klasy okręgowej seniorów: Przasnysz — Iżolacja 5:1, Ostrovia — Bug II 0:1, Start — Biekitni 1:2, Sokół — Makowlanka 1:1. Mecz ŁKS — Warmia — przełożony.

W trzeciej kolejce rozgrywek A klasy padły rozstrzygnięcia: Ziemowit — Czarni 2:0, Komunalni — Smolniki 2:5, Spar- ta — Ruch 3:1, Sokół — Orzeł 3:1, Wissa — Unia 7:0. Mecz Smolniki z Czarnymi z pierwszej kolejki zostanie powtórzony.

1. Wissa	3	5	13:3
2. Orzeł	3	4	11:4
3. Smolniki	2	4	8:2
4. Sparta	3	4	7:9
5. Ziemowit	3	3	7:5
6. Ruch	3	3	9:10
7. Sokół	3	3	5:6
8. Czarni	2	1	2:7
9. Unia	3	1	1:11
10. Komunalni	3	0	4:10

W dniach 2—6 września w Dąbkach odbyła się IV ogólnopolska spartakiada pracowników BGŻ i BS. Reprezentacja województwa łomżyńskiego zajęła dru- żynowo drugie miejsce, ulegając jedyn- nie Gdańskowi. Nast zdobyli trzy pu- chary i wygrali pięć z 14 konkurencji. Dariusz Tchórzewski z BGŻ Łomża wy- grał rzut piłką lekarską, strzelanie z wiatrówki — Stanisław Kossakowski z BS Rajgród, ten sam zawodnik triumfo- wał w podnoszeniu ciężarka, w brydżu sportowym zwyciężyła para: Edward Szachajko z BS Nowe Piekuty i Edward Rosiński z BS Ciechanowiec, w prze- ciąganiu liny nast byli także najlepsi.

Jeszcze lepiej powiodło się w Kosza- linie w dniach 17—20 bm. reprezentacji łomżyńskiego na X ogólnopolskiej spar- takiadzie sportowo-rekreacyjnej spół- dziełczości pracy „Start”, która zwy- cieżła w tej imprezie. Szczegóły za ty- dzień.

ŻONIE I RODZINIE
tragicznie zmarłego
MIROSLAWA MOŚCICKIEGO
Członka Spółdzielni Rzemieś-
niczej Rzemiosł Różnych w
Łomży
wyrazy współczucia
składa:
Rada, Zarząd i pracow-
nicy Spółdzielni.

K-368

Wyrazy szczerego żalu
i współczucia
**PREZESOWI Sądu Wojewódz-
kiego oraz**
Koleżance BEACIE
ALIŃSKIEJ
z powodu śmierci
TEŚCIOWEJ i BABCI
składają:
sędziowie oraz pracow-
nicy Sądu Wojewódzkiego
i Rejonowego w Łomży.

K-372



organ samojestny pod redakcją Wiesława Majanickiego

komunikaty

sztuka kochania

WEDŁUG OWIDIUSZA

Nie okazuj się zbyt łatwą dla młodego konkurenta. Ale też nie bądź dla niego zbyt surowa i zacięta. Twój kochanek wciąż żyć winien między lękiem a nadzieją. Po odmowie niech nadzieje rosną, lęk zaś maleje... [...] Najpiękniejszą twarz zniekształca gniewu zajądlność przekłeta. Stodycz cechuje człowieka, a zaś gniew — dzikie zwierzęta. [...] Pycha również jest szkodliwa. Niech twe oczy oprószenia stodycz... Duma budzi wzgardę. Powiadam to z doświadczenia. Spójrz łaskawie — gdy do ciebie luby robi czule oczy. Niechaj mu będzie nagrodą za uśmiech — uśmiech uroczy. [...] Łaska przyznana niezwłocznie krótko żar miłości żywi... Niechaj się czasem pomartwią kochankowie zbyt szczęśliwi. Niechaj luby twój tragicznie przeklina zamkniętą bramę. Niech prośbami i groźbami przekonywa gniewną damę...



Rys. Henri Matisse

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

pochwała cnotliwego żywota

W Łomży raz hurtownia stała
Super dyrektora miała
Małą instytucją była
lecz pijaków wielu kryła
Kto chciał nieźle prosperować
zdrowia, nerwów nie marnować,
być przykładnym pracownikiem
musiał zostać... przydupnikiem [...]
A cóż panie zrobić mogą
łaski jaką zyskać drogą?
Bardzo łatwo drogie panie
Starczy z dyrektorem spanie [...]
I wiadomo, w tej godzinie
moral z wiersza taki płynie:
Chcesz mieć żywot niezatruty?
Daj dolarów lub d...

Nota biograficzna: patrz „Podredakcyjna ekstrapocztka”.



FRAGMENT ODPOWIEDZI KOMPETENTNEGO URZĘDU

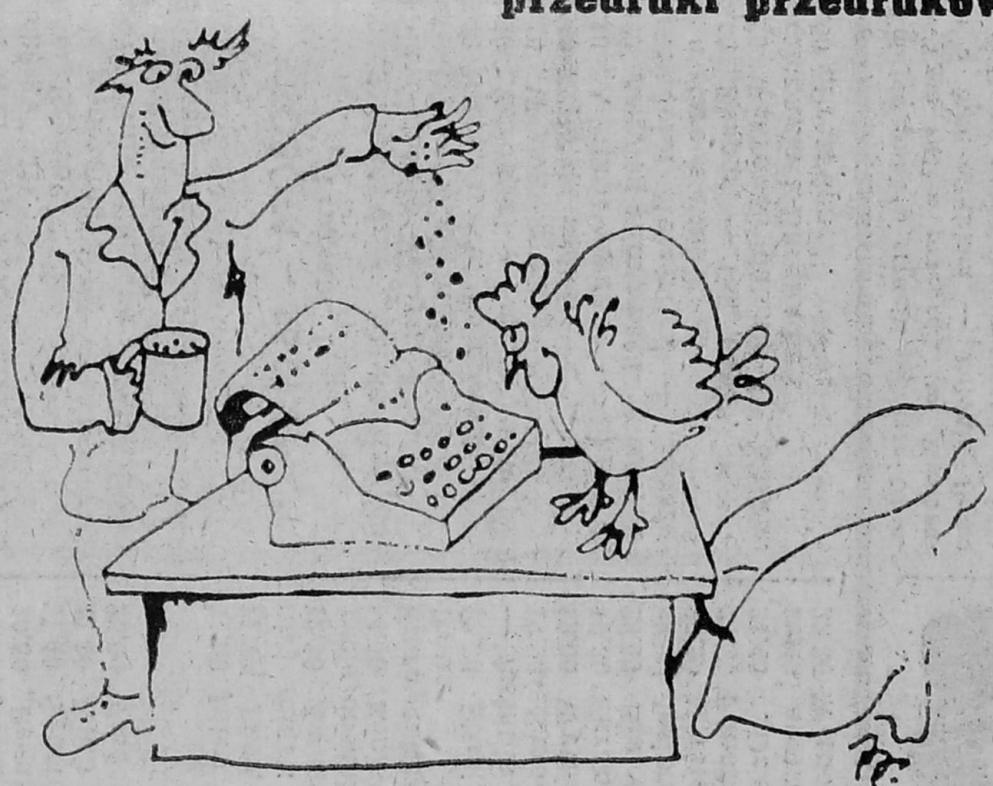
[...] wynika z powyższego, że choć załatwienie bądź niezałatwienie tej sprawy leży w kompetencji Urzędu, to jednak jej charakter nie zezwala na zabranie głosu w sprawie ostatecznej decyzji, którą naszym zdaniem winny podjąć czynnik bardziej kompetentny. [...] W związku z powyższym sprawa zostaje oddalona do ponownego rozpoznania przez inne instalacje, które winny zadecydować o pozytywnym bądź negatywnym załatwieniu rzeczowej sprawy.
Od powyższego postanowienia przysługuje prawo odwołania się w ciągu 14 dni od daty doręczenia niniejszego pisma.
Naczelnik Wydziału Geodezji mgr. (nazwisko znane podredakcji)

Do jedynego dotąd zrównoważonego rynku, owocowo-warzywniczego, z wolna dołącza drugi — wydawniczy. Półki księgarń zalega coraz więcej książek, coraz mniej pozycji kupuje się spod ludy. Pułkownik Przymanowski powiedział nie tak dawno w telewizji, że właśnie tak powinno być. I niewątpliwie ma rację. Ostatecznie nie każdego musi być zaraz stać na wszystko i dobrze jest, jeśli towaru na rynku więcej niż pieniędzy w obiegu.
Kiedy się jednak lepiej temu przypatrzeć, ogarniają człowieka pewne wątpliwości. W naszym społeczeństwie

wieści ponadgminne

książka nie jest jeszcze towarem pierwszej potrzeby i w czasach, kiedy byle szmatławo wydana broszura kosztuje kilkaset złotych, może stać się towarem całkowicie zbędnym. To — proszę szanownych decydentów ekonomiczno-kulturalnych — nie jest samochód, który ludzie kupią za każdą cenę. W przypadku książki nie wolno przekroczyć pewnej granicy, którą — jak się zdaje — ta i owa oficyna już przekracza. Może się bowiem zdarzyć, że pewnego dnia będziemy mieli książek faktycznie pod dostatkiem, tylko klientów całkowicie zabraknie.

KOMENTATOR



— Pracuj szybciej, Walerio, dyrektor czeka na sprawozdanie!

Druk: „Krokodil”, przedruk: „Kraj Rad”, komentarz własny.

PODREDAKCYJNA EKSTRAPOCZTA

Motto:
Dobrze czy źle,
było dużo.

Redakcjo!
Nazywam się [...], mam 23 lata, mieszkam i pracuję w Łomży. W Waszym piśmie czytuję dowcipne wierszyki, które trafnie charakteryzują bolączki dnia powszedniego. Postanowiłam wystać do Was swoje „wypociny”, może niedużo, ale obrazujące rzeczywistość mojego zakładu pracy.

Proszę o wydrukowanie. Jednocześnie chciałabym, żeby moje nazwisko pozostało nie ujawnione.

(adres, imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

LUKSUSOWE JEDNO DANIE

TARTINKI Á LA II ETAP

Cienkie plasterki chleba posmarować margaryną słoneczną, dalej masłem, marmoladą, miodem, dżemem, posypać kawior, na wierzch dać plasterki wędzonego łosia, przybrać węgorem w galarecie i indykiem w maladzie. Całość ugarniować czekoladą czekoladopodobną, z domieszką pieprzu francuskiego. Podawać na srebrnych łołatkach lub na japońskiej macie.

GOSPODYNIA

uniwersalna wróżba tygodnia

W tym tygodniu pamiętaj o starej maksymie, że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej. Weź się zatem do kupy i pracuj nadal tak wydajnie, jak dotąd. Około czwartku z pewnością osiągniesz sukces, być może finansowy lub moralny, albo — co najpewniejsze — sercowy. Gratulacje!

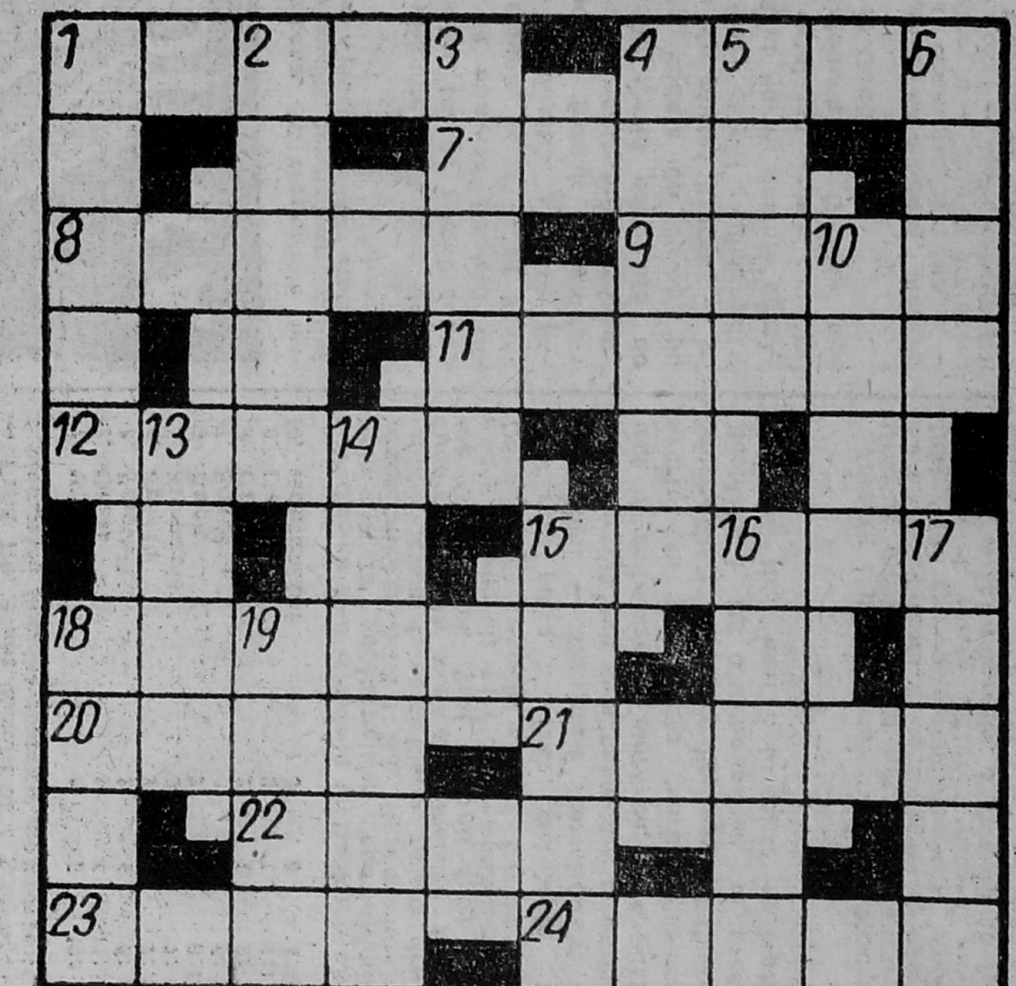
KASSANDER

swawolnik

Stanisław Zatorbiński, popularny w dwudziestolecu międzywojennym rysownik, znany był również z dosyć ekscentrycznego trybu życia. Sypiał w dzień, pracował nocą, odżywiał się wyłącznie pożywieniem roślinnym. Miał on również pewną słabość, hobby nadzwyczaj popularne w tamtych czasach. Otóż pasjami wywoływał duchy i nie miał bez zastrzeżeń wierzył w to, co mu zechciały powiedzieć.

Jednym z jego przyjaciół był słynny Wieniawa-Długoszowski. Pewnego razu, w trakcie wspólnego seansu spirytystycznego, „duch” nasta-

wiony przez Wieniawę i pozostałych uczestników mistrium, kategorycznie nakazał Zatorbińskiemu natychmiastowe skonsumowanie kilograma surowej wołowiny. Jeden z obecnych „przypadkiem” miał poleć mięsa w swojej teczce, toteż biedny plastyk zaczął z obrzydzeniem przełykać kęsy. Kiedy skończył (popijając szampanem), miał jakoby powiedzieć: — Proszę, aby na drugi raz nikt nie przychodził do mnie z mięsem. Przecież ten sukinsyn (tzn. duch) musiał wywahać to padło w teczce. Cholera, nie wiedziałem dotąd, że duchy mają też węc.



POZIOMO: 1) obozowanie pod gołym niebem, 4) chluba wielbłąda, 7) cechuje osła, 8) 100 centów, 9) wyspa korallowa, 11) nakładany jest na palec dla wzmocnienia uderzenia pięścią, 12) krótka informacja prasowa, 15) kaper, 18) żeński organ rozmnażania się, 20) pogrzebac, 21) wlogaczna, 22) tylna część statku, 23) pożywka dla drobnoustrojów, 24) broń pszczoły.

PIONOWO: 1) kolarska butelka, 2) figura karciana, 3) grzyb jadalny, 4) znany polski trener piłkarski, 5) hodo-

wła bydła w Mongolii, 6) płyta stanowiąca wierzchnią część przedmiotu, 10) sute przyjęcie, uczta, 13) broń, 14) austrijski skoczek, 15) przejście między budynkami lub ulicami, kryte najczęściej szklanym dachem, 16) słynny piłkarski klub wiedeński, 17) puls, 18) wydzielone miejsce na widowni, 19) niejedna w pasmie szczytów. (HCL)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 36/87

POZIOMO: Puck, lewa, zakątek, atar, Krak, ser, typ, ala, trasa, ronin, przód, limak, barak, Oka, ama, Abo, targ, Adam, komórka, „Stal”, tryk. PIONOWO: Piast, czara, kar, wasy, lek, „Eksan”, arkan, termika, Alibaba, tarka, próba, Spa, oda, lotos, marka, radar, komik, miód, gol, akt.

Za poprawne rozwiązanie książki wylosowali: MAREK DOŁKOWSKI (Wysokie Mazowieckie), JANINA KOWZAN (Wolna-wieś) i JANINA SZYMANSKA (Łomża).

SZKLANE DOMY TYLKO Z BUTELEK PO WÓDCE!